CIV-9013

Cena 60 gr

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

W NUMERZE m. in.:

Ks. Prof. M. ŻYWCZYŃSKI: Kościół i rewolucja francuska

J. POGORSKI — Arabskie awantury

J. STADNICKI — Wigilia kata

Z. DĄBROWA — Odsłonięto 500 lat słowiańskich pradziejów

J. A. GÓRSKI — Dickens dla dorosłych

R. MICHALSKI — Czy potrzeba rewizji?

Rok VIII | Warszawa, 6 stycznia 1952 r. | Nr 1 (319)

Andrzej MICEWSKI

NOWY ROK 1952

WPRAWDZIE rzadko się zdarza, żeby zaczynający się rok był jednocześnie rozpoczęciem nowego etapu w życiu ideowo-politycznym narodu, jednakże Nowy Rok daje zawsze perspektywę i stwarza doskonałą okazję do ogólniejszych ocen i prób podsumowania istniejącej na świecie sytuacji.

Poświęciliśmy ostatnio na naszych łamach dużo miejsca problematyce międzynarodowej, o tez dzisiaj chcemy podać pare uwag dotyczących wewnętrznej sytuacji ideowej społeczności katolickiej w Polsce.

Rok 1951 był rokiem szerokiego upowszechnienia się w społeczeństwie katolickim idei pokoju, pojmowanej w coraz to ściślejszym związku z troską o realizację podstawowych założeń współczesnej narodowej racji stanu. Można powiedzieć, że ostatni rok przyniósł skupienie się pełnego wachlarza wszystkich osób i środowisk reprezentatywnych dla społeczeństwa katolickiego wokół hasła Frontu Narodowego walki o pokój i o realizację ekonomicznych założeń planu 6-letniego. Rok ten był okresem intelektualnego przeniknięcia tej idei Frontu Narodowego w najszersze kręgi duchowieństwa i katolików świeckich. Rok 1951 był także niewątpliwie okresem przełomowym, jeśli chodzi o udział duchowieństwa polskiego w walce o pokój i zasady polskiej racji stanu. Punktem kulminacyjnym aktywności duchowieństwa był niewątpliwie zjazd wrocławski.

Ten olbrzymi zjazd, w którym wzięło udział przeszło 1500 samych duchownych katolickich był w swej treści w pełnym tego słowa znaczeniu wyrazem katolickiej opinii publicznej. Nie tylko dlatego, że treść zjazdu czyniła zadość negatywnym normom zasad naszego światopoglądu, ale także dlatego, że w treści zjazdu w pozytywny sposób ujawniał się „sens catholicus" w najgłębszej trosce referenta, przemawiających i zebranych, o dobro, przyszłość i prawdę Świętego Kościoła. Jednocześnie zaś zjazd wrocławski miał bardzo silne i wyraźne ostrze polityczne i zarówno przez swą masowość, jak i treść ideową spełnił rolę zasadniczej mobilizacji katolików polskich, obok Rządu R.P. wraz z całym narodem do walki przeciw niemieckiemu rewizjonizmowi.

Idzie obecnie nowy rok. Nasze dotychczasowe stwierdzenia są zabarwione nutą wyraźnego optymizmu. Nie znaczy to jednak wcale by analiza życia ideowo-politycznego katolików polskich w ubiegłym roku nie nasuwała istotnych wniosków i nie wykazywała konieczność postawienia sobie zdecydowanych zadań na rok następny.

Powiedzieliśmy, że idea Frontu Narodowego przeniknęła intelektualnie najszersze kręgi katolików duchownych i świeckich. Znaczy to, że uważamy, iż słuszność tej idei przyjmuje się powszechnie. Natomiast podstawową wadą postawy wielu tak duchownych jak i świeckich katolików jest wyraźne teoretyczne rozumienie tej idei, nieuświadamiające sobie konieczności prowadzenia konkretnej walki i pracy politycznej. Chodzi tu przecież o sprawy najbardziej podstawowe, zasadnicze dla każdego Polaka, zdawałoby się tak proste i często powtarzane, że winny być powszechnie rozumiane a tymczasem często w terenie w konkretnej akcji i to zarówno w ośrodkach intelektualnych jak i na prowincji, napotyka się na niedostatecznie jasne uświadomienie, że udział we Froncie Narodowym znaczy konkretnie: aktywność i odpowiedzialność. Gdyby ten problem był zawsze dostatecznie doceniony, nie powstawałyby takie zastrzeżenia, jak np. trudność pogodzenia pracy zawodowej czy duszpasterskiej z jakimś jednym wyjazdem czy np. spotkaniem. Nie spotykałyby się tego rodzaju zastrzeżenie jak np. wątpliwości czy należy do kompetencji katolika uczestniczyć w takiej pracy politycznej.

To ostatnie zagadnienie ma bardzo ważne znaczenie jeśli chodzi o udział duchowieństwa w akcjach pokojowych. Byłoby niewątpliwie jak najbardziej fałszywe tłumaczenie naszego założenia o postawie aktywności i odpowiedzialności wobec spraw pokoju i racji stanu narodu, jako wezwanie do aktywności politycznej duchowieństwa. Przeciwnie nie dość będzie podkreślać, że zasadniczą misją duchowieństwa jest duszpasterstwo i związane z tym czynności religijne, wychowawcze, administracyjne i inne. Natomiast w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej, wobec stanu zagrożenia pokoju a tym samym podstawowych interesów narodu polskiego, zupełna apolityczność jest tak samo nierealna dla duchownego, jak i dla każdego innego obywatela kraju. A uczestnictwo w zakresie tej problematyki we Froncie Narodowym stało się elementarnym obowiązkiem obywatelskim, dla katolika choć niewątpliwie ma ono wewnętrzny i zewnętrzny sens i wymowę polityczną.

Rok 1952 musi dać na tym odcinku przezwyciężenie tych oporów w postawie katolików przez co udział nasz we Froncie Narodowym stanie się bardziej dynamiczny, a tym samym bardziej ważki politycznie.

Istnieje jeszcze jeden moment w omawianej problematyce, który należy koniecznie i bardzo wyraźnie podkreślić. Chodzi tu o to, że katolicy swego udziału we Froncie Narodowym w konkretnych akcjach pokojowych nie mogą i nie powinni traktować jako koncesji politycznych. Działanie nasze jest wynikiem w pierwszym rzędzie przekonania o słuszności sprawy a nie przejawem gry taktycznej. Gdybyśmy nie widzieli w haśle Frontu Narodowego wspólnego wszystkim Polakom interesu narodowego, żadne względy polityczne nie mogłyby nas skłonić do uczestnictwa w tym Froncie.

Jest rzeczą naturalnie zupełnie zrozumiałą, że katolicy uczestnicząc we Froncie Narodowym czynią to z myślą o perspektywach własnego rozwoju dla naszego światopoglądu w Polsce Ludowej. Budując wraz ze zwolennikami innych światopoglądów Polskę i zabezpieczając rację stanu narodu katolicy ustawiają się w roli czynnika politycznie potrzebnego w życiu narodowym. Ale ta wielka koncepcja służby perspektywom religii i światopoglądu katolickiego w Polsce Ludowej nie może mieć nic wspólnego z płaskim, doraźnym dyskontem politycznym naszej obecności w rzeczywistości, tak jak z drugiej strony wszelkie względy praktyczno-polityczne w niczym nie naruszają naszego przeświadczenia o nadprzyrodzonej misji Kościoła, niezależnej od wszelkich przemijających czynników ludzkich.

Wszystko to co powiedzieliśmy wyżej o postawie katolików polskich w walce o pokój oznacza praktyczne zadanie pogłębiania motywacji ideowej tej walki w roku nadchodzącym. Przeniesienie w teren do najszerszych rzesz polskiego duchowieństwa i katolików świeckich treści i osiągnięć zjazdu wrocławskiego winno nastąpić z uwzględnieniem właśnie tej konieczności ideowego pogłębiania naszego udziału we Froncie Narodowym.

Szerokim echem wśród katolików polskich odbiło się przedstawione w dyskusji wrocławskiej sformułowanie istoty walki przeciw remilitaryzacji i rewizjonizmowi. Walki tej nie można wyodrębnić z kontekstu ogólnej sytuacji międzynarodowej świata, a w szczególności nie można jej oddzielić od zachodnio-europejskiego bloku, w którym remilitaryzowana zachodnio-niemiecka Republika Federalna stanowi istotną część składową.

Blok ten operuje takimi narzędziami politycznymi, jakimi jest pakt północno-atlantycki i plan Schumana. Oczywiście, obie te instytucje są bezpośrednio związane z zagadnieniem remilitaryzacji Niemiec Zachodnich. Można powiedzieć, że ona właśnie jest ich wynikiem.

Na czele zaś, jako główny inspirator tego całego systemu, stoi imperializm Stanów Zjednoczonych. Otóż rozumiejąc ten międzynarodowy charakter wszystkich problemów związanych z groźbą nowej wojny, oraz z zagadnieniem rewizjonizmu i remilitaryzacji Niemiec Zachodnich trzeba walkę przeciw tym niebezpieczeństwom widzieć także w skali szerokiej. Katolicy polscy nie są bynajmniej jedynymi, którzy odczuwają niebezpieczeństwo remilitaryzacji choć na pewno nasz naród ma powody, by obawiać się jej najbardziej.

Rok 1951 przyniósł duży krok naprzód w nawiązywaniu kontaktu ideowego katolików polskich z katolikami i chrześcijanami innych krajów europejskich. Rok 1952 powinien być okresem bardzo zasadniczego zaciśnienia więzów ideowych ludzi wyznających światopogląd chrześcijański wokół sprawy pokoju. Obecność delegacji chrześcijan i katolików z całych Niemiec na zjeździe wrocławskim z sekretarzem generalnym Unii Chrześcijańsko - Demokratycznej Niemiec, Wice-przewodniczącym Izby Ludowej N.R.D. Geraldem Göttingem na czele miała niewątpliwie duże znaczenie merytoryczne.

Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju spotkania i współpraca są najbardziej owocne dla sprawy pokoju. Dlatego też tak słuszna jest wytyczna światowego Ruchu Obrońców Pokoju, żeby w konkretnych akcjach, zmierzających do zapobieżenia wojnie, zwracali się do siebie ludzie jednakowych poglądów, czy jednakowego zawodu z różnych narodów, ras i kultur. Zacieśnienie współdziałania ludzi wyznających światopogląd chrześcijański w walce o pokój oraz znalezienie konkretnych i skutecznych form tej współpracy jest niewątpliwie ważnym zadaniem na rok następny naszej ciągłej pracy pokojowej.

Zagadnienie to jest szczególnie aktualne i ważkie na odcinku walki z rewizjonizmem i remilitaryzacją w Niemczech Zachodnich. Jednym z zasadniczych instrumentów politycznych tej walki może stać się zbliżenie katolików polskich z

(Dokończenie na str. 2)

O katolicyzm głębi

NOWY rok liturgiczny nie pokrywa się z nowym rokiem kalendarzowym. Tryb wewnętrznego życia Kościoła jest inny niż nasze świeckie obyczaje i uroczystości.

Mimo tego jednak, że życzenia noworoczne są obyczajem świeckim i że o perspektywach nowego okresu życia myśli się kategoriami osobistymi lub też społecznymi — pragniemy się również z naszymi przyjaciółmi podzielić myślami o czekających nas nowych zadaniach i na odcinku naszego życia religijnego.

Katolicyzm głębi — oto hasło rzucone i wielokrotnie rozwijane na naszych łamach. Hasło to, jak każde inne, stanie się jałowym frazesem, jeśli nie będzie codziennym wysiłkiem wprowadzane w życie.

Katolicyzm głębi — to przede wszystkim katolicyzm świadomy. Zasady naszej wiary są proste. Zawierają się w kilku wielkich przykazaniach i wielkich prawdach. Jednak prawidłowe ich stosowanie i szerzenie wymaga stałego pogłębiania naszej wiedzy o własnym światopoglądzie. Filozofia wyszła dziś z gabinetów uczonych, filozofia stała się dziś orężem w walce o oblicze świata. Katolik nie pogłębiający stale zasobu swej wiedzy teologicznej, etycznej, liturgicznej, dogmatycznej godzi się świadomie, jeśli nie na to, by być katolikiem złym, to w każdym razie na to, by być słabym katolikiem!

Katolicyzm głębi — to katolicyzm powszechny. Uczestnictwo każdego wierzącego w tajemnicy Mistycznego Ciała Chrystusowego jest podstawą prawidłowego rozumienia roli Kościoła. Zwężanie uczestnictwa w Kościele do postawy „ja i Bóg", która z trudem pozostawia miejsce dla kapłana w roli pośrednika, musi być usunięte z mentalności katolickiej. Musi być zastąpione poczuciem wspólnoty ludzkiej i jednocześnie nadprzyrodzonej, wspólnoty troski o Kościół, wspólnoty troski o zbawienie, o los bliźniego. Musi odżyć w naszych sercach piękne, choć zapomniane, pojęcie gminy chrześcijańskiej.

Katolicyzm głębi to katolicyzm ofiarny. Droga wskazana przez naukę Chrystusową jest drogą trudną. Dać świadectwo prawdzie, to przede wszystkim dać świadectwo własnej woli bezkompromisowego podporządkowania się prawdzie. Dziś każde nasze uchybienie, każda nasza słabość w jakiś sposób zagraża naruszeniem autorytetu wyznawanych przez nas ideałów. Ofiarność naszego osobistego życia, jego codzienna zgodność z Ewangelią oto droga wypełniania naszego posłannictwa.

Katolicyzm głębi to wreszcie — katolicyzm, w którym każdy dzień ma nas zbliżać do Boga. Codzienna praktyka religijna, codzienne wznoszone ku chwale Bożej osiągnięcia pracy ludzkiej, codzienny rachunek sumienia, kontrolujący naszą moralność — to nasze zobowiązania.

Połączyć w jedną zwartą całość prostą dziecięcoufną wiarę w miłosierdzie Ojca ludzkości z dojrzałą wiedzą o wszystkim, co poprzez tę Ewangelię i naukę Kościoła dał nam dla oświecenia naszej wiary — oto treściwa formuła, w której chcemy zawrzeć nasze hasło katolicyzmu głębi i które pragniemy w roku bieżącym ze wzmożoną siłą realizować w naszej pracy i współpracy z Czytelnikami.

ECHA WROCŁAWIA

APEL WROCŁAWSKI do Polonii Zagranicznej

Bracia rodacy!

W doniosłej sprawie zwracamy się do Was, Bracia Rodacy, zamieszkujący poza granicami kraju.

W dniu dzisiejszym ze wszystkich zakątków Polski zjechali do Wrocławia księża katoliccy i świeccy działacze katoliccy w potężnej liczbie, aby zadokumentować swoje zdecydowane stanowisko wobec prowadzonej akcji remilitaryzacji Niemiec Zachodnich i związanego z tym ściśle rewizjonizmu niemieckiego, dążącego do odebrania Polsce jej Ziem Zachodnich.

Chcemy zadokumentować przed całym światem, że w tak żywotnej i zasadniczej sprawie dla narodu polskiego, jaką jest sprawa przynależności Ziem Zachodnich do Polski, nie ma żadnej różnicy pomiędzy Polakami bez względu na ich przynależność. Chcemy przez nasz udział w manifestacji we Wrocławiu dać wyraz świadectwu, że nieprawdą jest, co niektórzy u Was głoszą, że tylko Rząd Polski Ludowej i część społeczeństwa stoi niezłomnie na straży granic na Odrze i Nysie. W tej sprawie cały naród polski a w tym i wszyscy katolicy zajmują jednakowe i zdecydowane stanowisko. Taka a nie inna jest prawda, wszystkie inne stwierdzenia są zwykłym kłamstwem naszych przeciwników, którzy sądzą, że można zwodzić katolików polskich wskazaniem im na zagrożenie wiary po to jedynie, aby ich uwagę odwrócić i zagrabić im w międzyczasie te ziemie, które sprawiedliwość dziejowa zwróciła słusznie w ich ręce.

Dlaczego zwracamy się w tej sprawie do Was, Rodacy na obczyźnie? Znamy Wasze gorące przywiązanie do wspólnej nam wszystkim Macierzy. Wiemy doskonale że wielomilionowa rzesza Polonii w USA, Anglii, Francji, Niemczech Zachodnich itd. odnosi się do Ziemi Polskiej tak, jak dziecko do swej matki. Wiemy, że wprawdzie jesteście często obywatelami innego państwa, ale w duszy swej zachowaliście takie samo przywiązanie do Ziemi Ojczystej, jakie mieli pierwsi pionierzy udający się do USA czy innych krajów za chlebem, kiedy na znak łączności swej z Ojczyzną zabierali ze sobą dzwony kościelne z Polski, aby na odległych ziemiach przypominały im swym dźwiękiem łączność ze starym krajem.

Zwracamy się także do Was, emigrantów z okresu ostatniej wojny. Choć zarzucamy Wam, że daliście się uwieść propagandzie polityków emigracyjnych i nie powróciliście do kraju, by w trudnych warunkach powojennej odbudowy służyć Ojczyźnie. Choć rozdzieliły nas długie lata — dla nas lata uporczywej pracy, dla Was lata bezowocnego oczekiwania — mimo wszystko wierzymy niezachwianie, że wbrew spekulacjom polityków nie zatraciliście instynktu narodowego i że rozumiecie, jak śmiertelnym zagrożeniem jest dla Polski odrodzenie niemieckiego militaryzmu. Potępcie wraz z całym narodem polskim, wraz z całym polskim uchodźctwem tych odszczepieńców, którzy w ich imieniu próbują rozmów i pertraktacji z jawnymi wrogami Polski, z antypolskim rządem Adenauera.

Jest naszym obowiązkiem przedstawić Wam, Rodacy, pod rozwagę sprawy, które obchodzą każdego uczciwego Polaka bez względu na jego obecne miejsce zamieszkania. Sprawa ta przedstawia się pokrótce następująco:

Na terenie Niemiec Zachodnich rośnie pod protektoratem kierowników amerykańskiej polityki z każdym dniem nowy obóz wojny, którego głównym celem jest ponowny zabór naszych Ziem Zachodnich. Adenauer i przebrani w skóry obrońców cywilizacji zachodniej dawni hitlerowcy, którzy już raz rozpętali wojnę światową, wypuszczeni częstokroć z więzień zbrodniarze wojenni organizują przy pomocy rządów anglosaskich i innych rządów państw Zachodniej Europy nowe dywizje, które mają pomaszerować na Wschód, aby oderwać od naszej Ojczyzny i przyłączyć do Niemiec Wrocław, Szczecin, Gdańsk, Poznań, Katowice i Bydgoszcz.

Chcemy Wam w związku z tym przypomnieć co następuje:

Ziemie Zachodnie objęliśmy ponownie w nasze posiadanie jako ziemie, które należały do Polski i jedynie przemoc germańska narzuciła im swoje, uciskające jarzmo. Dowodem tego są liczne ślady polskości, które mimo szalonego wysiłku germanizacyjnego Fryderyków i Bismarcków, zachowały się niezniszczalne aż do czasu wyzwolenia, świadcząc dobitnie o polskości tych Ziem.

Objęliśmy te Ziemie w ponowne posiadanie w wyniku przegranej przez hitlerowskie Niemcy drugiej Wojny Światowej, wojny wywołanej przez Niemcy, w r. 1939 zdradziecką napaścią na Polskę. Objęliśmy te tereny w wyniku układu poczdamskiego, podpisanego w r. 1945, pod którym to układem figurują również podpisy przedstawicieli państw zachodnich. Przesiedliliśmy z tych terenów ludność niemiecką w oparciu o wspomniany układ poczdamski, a nie w wyniku samowolnej akcji tak, jak to robili hitlerowcy w latach ostatniej wojny, kiedy wyrzucali brutalnie polską ludność z Ziem Zachodnich do tak zw. Generalnego Gubernatorstwa. Uczyniliśmy więc wszystko, co należało uczynić, aby przywrócić charakter polski dawnym piastowskim połaciom naszego kraju, uczyniliśmy to, jak powtarzamy w oparciu o zawarte układy międzynarodowe. Ziemie te objęliśmy zniszczone, a obecnie, po siedmiu latach wytężonej pracy zdołaliśmy je zagospodarować i zapewnić im trwały dalszy rozwój.

Przedstawiliśmy Wam nasze stanowisko w sprawie obchodzącej wszystkich zdrowo myślących Polaków. Z kolei pozwólcie, drodzy rodacy, że szczerze i otwarcie zwrócimy się do Was z następującymi pytaniami: czy zdajecie sobie sprawę z tego że remilitaryzacja Niemiec Zachodnich oznacza w konsekwencji nową wojnę, w której wasi synowie znaleźliby się po przeciwnej nam stronie i walczyli by o zdobycie dla Niemiec Wrocławia, Szczecina, Poznania, Katowic czy Bydgoszczy.

Dlaczego milczą w tej sprawie Wasze organizacje kolonijne? Czy, Wy, księża, zakonnicy i katoliccy świeccy pochodzenia polskiego, którzy wydajecie tak liczną prasę dla Polonii, nie wiecie o tym, że hitlerowcy zamęczyli w obozach koncentracyjnych ok. 20% ogólnego stanu naszego duchowieństwa, nie wyłączając kilku biskupów, że dawni ich oprawcy wypuszczeni przedwcześnie z więzień znajdują się dziś na terenie Niemiec Zachodnich i szykują się do nowej wyprawy na Polskę? Czy nie należy w tym wypadku uczynić wspólnie z nami wszystkiego, aby ukrócić te występne knowania zagrażające pokojowi świata?

Jeśli te sprawy stawiamy, to wierzcie nam, że przemawia przez nas ból, żal milionów polskich katolików, których gorszy Wasza bierna, często milcząca i wyczekująca postawa. Czas już najwyższy wyciągnąć wnioski. Apelujemy do Was abyście jako synowie tej samej Macierzy, aby wszystkie Wasze organizacje użyły wszystkich swoich wpływów, celem niedopuszczenia do odrodzenia pruskiego militaryzmu, celem zapobieżenia nowej, straszliwej wojnie, celem utwierdzenia i umocnienia granicy pokoju na Odrze i Nysie.

Apel do katolików niemieckich

MY duchowni i świeccy działacze katoliccy Polski zebrani na zjeździe wrocławskim zwracamy się do katolików niemieckich pełni niepokoju i troski w obliczu nowych niebezpieczeństw grożącym obu naszym krajom.

Jako członkowie jednego Kościoła Powszechnego, czujemy się z wami związani więzią duchowej wspólnoty, której żadne nacjonalistyczne machinacje rozbijać ani osłabiać nie powinny. W tym duchu jedności i solidarności traktować chcemy najistotniejsze zagadnienia narodów naszych dotyczące.

Jako chrześcijanie, odrzucamy stanowczo tezę, że antagonizm trwający od wielu wieków między naszymi narodami jest nieuniknioną koniecznością historyczną.

Jako ludzie epoki przełomowej wiemy, że dzielące w przeszłości oba narody konflikty wrogich ambicji i materialnych interesów tracą dziś z każdym dniem swą moc istotną. Zdrowe siły obu naszych narodów mogą się dziś wznieść ponad dawne przegrody i podać sobie uczciwie dłoń w imię wspólnych ludzkich interesów i ideałów sprawiedliwości. Ale porozumienie prawdziwe, do wyrównania dawnych bolesnych rozrachunków prowadzące, oparte być musi na rzetelnej prawdzie.

Polska nie tylko została brutalnie napadnięta i ziemia jej spustoszona ogniem i żelazem, ale później pod okupacją hitlerowską ludność jej padła ofiarą nieludzkiego prześladowania, gdzie okrucieństwo przybrało nigdy dotąd w dziejach nienotowane rozmiary.

Pomimo tych trudnych do zapomnienia krzywd wyciągamy rękę do zgody i pragniemy zakończenia długowiekowych sporów.

Mieliśmy nadzieję, że okropności ostatniej wojny staną się powodem istotnego przełomu w Waszej ojczyźnie. Nie dostrzegliśmy jednak dotąd w Niemczech Zachodnich śmielszych prób rewizji przeszłości, a zamiast tego mamy coraz więcej dowodów narastania nowej fali nacjonalizmu i szowinizmu, które przybierać zaczynają charakter agresywny, skierowany między innymi także przeciwko Polsce.

Widzimy jednak, że w Niemczech Zachodnich z nieukrywanym poparciem amerykańskich władz okupacyjnych, prowadzona jest propaganda wojenna, oraz czynione są przygotowania do odbudowania nowej armii, na czele której stanąć by mieli obciążeni zbrodniami dawni generałowie hitlerowscy. Akcją tą kierują niemieckie czynniki polityczne spod znaku CDU, odwołując się do autorytetu katolickich programów politycznych, a popierają ją, niestety, liczni duchowni katoliccy, zajmujący nieraz nawet wysokie stanowiska i godności kościelne.

Niewątpliwie otuchą napawa nas postawa Niemieckiej Republiki Demokratycznej, której rząd zrywa zdecydowanie i odważnie z tradycją pruskiego militaryzmu i gdzie pokojowe ideały wychowawcze stawia się przed oczy narodowi. Pomimo odmienności światopoglądowych, które w walce o pokojowe Niemcy różnią katolików i marksistów, te pozytywne przeobrażenia polityczno-moralne N.R.D. stwierdzić musimy z całą stanowczością i lojalnością.

Widzimy także, że coraz szersze kręgi niemieckich katolików i chrześcijan zarówno w NRD jak i w Niemczech Zachodnich przyłączają się do obozu przemiany narodu niemieckiego, do przełamania złej tradycji historii. Widzimy z głęboką radością, jak rośnie w Niemczech obóz pokoju i braterstwa między narodami, widzimy i popieramy wielką i dramatyczną walkę narodu niemieckiego o jedność sztucznie podzielonej ojczyzny.

W tej walce narodu niemieckiego o pokój i jedność nie może zabraknąć ludzi o naszym poglądzie na świat. Katolicy niemieccy winni przyczynić się do przemiany, do pokojowego wychowania własnego narodu, w oparciu o największe przykazanie naszej religii, będące najwznioślejszą ideą ludzkości — w oparciu o zasadę miłości bliźniego. Na katolikach ciąży zbyt wielka odpowiedzialność, by mogli nad tą sprawą przejść do porządku.

Chcemy, aby głos nasz został potraktowany przez Was w duchu obiektywizmu i sprawiedliwości. Apelujemy do Was przeto, byście się swą zdecydowaną postawą przyczynili do odsunięcia od świata wizji nowej, jeszcze straszliwszej od poprzedniej wojny, byście udowodnili całemu światu, że obce Wam są ideały odwetu i zaboru. Apelujemy do Was o postawę szczerej przyjaźni w stosunkach między naszymi narodami, postawę, której precedensy w naszych stosunkach z NRD cieszą nas już dziś.

Obowiązkiem Waszym bracia katolicy niemieccy, jest przejąć się duchem pokoju i szukać nowych dróg do zgodnego współżycia z sąsiednimi narodami. Wzywamy Was, byście mieli odwagę i wolę krytycznego spojrzenia na prusko-niemiecką politykę ostatnich stuleci, zatrutą jadem nacjonalistycznej nienawiści i agresywnym imperializmem.

Oczekujemy, że przeciwstawicie się próbom remilitaryzacji Niemiec, oraz wszelkim usiłowaniom wciągnięcia narodu niemieckiego w orbitę wojennych planów i agresywnych sojuszów, które podszeptują Wam dziś obce interesom narodu niemieckiego orientacje polityczne.

Oczekujemy, że napiętnujecie bezkompromisowo wszelkie czynione dziś próby zrehabilitowania w łonie Waszego społeczeństwa hitlerowskiej ideologii i spadkobierców hitlerowskich zbrodniczych tradycji.

Wierzymy, że świadomi swej moralnej odpowiedzialności przeciwstawicie się wszelkim nawoływaniom do nowego wojennego marszu przeciw Polsce. Droga zgodnego współżycia między naszymi narodami nie może prowadzić poprzez przygotowania do nowej masakry. Wzywamy Was, katolicy niemieccy, byście tę oczywistą prawdę wpoili niemieckiemu narodowi.

Nowy Rok 1952

(Dokończenie ze str. 1)

katolikami i chrześcijanami Niemiec. Trzeba sobie dobrze zdawać sprawę, że w Polsce w kraju tak bardzo związanym z religijnością, a przede wszystkim z katolicyzmem argumenty przeciw zachodnio - europejskiej i amerykańskiej propagandzie wykorzystującej religię dla celów podburzania do nowej wojny, nasuwają się same przez się. Zawarte i rozwijane w naszym kraju porozumienie Kościoła Katolickiego z Państwem Ludowym stanowi w tym przedmiocie argumentację wprost bezcenną. Niejednokrotnie słyszeliśmy od naszych przyjaciół niemieckich, że bez tej argumentacji walczyć z rewizjonizmem i duchem wojny w Niemczech Zachodnich wprost nie sposób.

Życie ideowo - polityczne katolików polskich w ostatnim roku szczególnie było związane z problematyką walki o pokój. Tak też zresztą było z życiem całego narodu polskiego. Dlatego też spoglądając w perspektywę Nowego Roku działalności tę dziedzinę naszego życia ideowego wybraliśmy i jej poświęciliśmy pewną ilość naszych uwag. Nie ulega wątpliwości, że walka o pokój właśnie w roku obecnie się rozpoczynającym będzie przybierać na sile, znów będzie obfitowała w momenty ważkie i decydujące. Wskazuje na to rozwój sytuacji międzynarodowej. Dlatego właśnie szczególnie zajmuje nas dzisiaj przygotowanie ideowe i psychiczne katolickich działaczy oraz najszerszych rzesz społeczeństwa do wypełniania zadań ideowo - politycznych, które są realizowaniem uznawanej wspólnie racji stanu narodu polskiego.

Andrzej Micewski

NOTATNIK POLITYCZNY

Wspólna walka rękojmią przyjaźni

Ogólnokrajowa manifestacja katolików polskich we Wrocławiu była trafnym wyrazem ewolucji dokonującej się na odcinku stosunków polsko-niemieckich.

Jest sprawą oczywistą, że nie oderwane rozważania teoretyczne ale przede wszystkim obserwacja wydarzeń międzynarodowych stanowi zasadnicze podłoże wspomnianej ewolucji poglądów. W momencie gdy remilitaryzacja Niemiec Zachodnich przestała być sprawą takich czy innych odwetowych tendencji i stała się sprawa stanu faktycznego — musiała wzmóc się w całym naszym społeczeństwie świadomość zagrożenia naszego narodowego bytu oraz świadomość, że należy z życzliwością i zaufaniem odnieść się do tych Niemców, którzy praktycznie dowiedli i nieustannie dowodzą swej woli walki z antypolską, wojenną polityką popieranych przez USA rewizjonistów z Bonn.

Przewodniczący delegacji katolików niemieckich na Zjazd Wrocławski, generalny sekretarz CDU Gerald Goetting w specjalnym wywiadzie udzielonym po powrocie do NRD tak sformułował swoje wrażenia z Manifestacji: „Nasz pobyt w Polsce był nowym dowodem tego, że ludzie walczący o pokój podają sobie ręce ponad granicami narodów i krajów dla odbudowy lepszego i szczęśliwszego świata".

Te szlachetne słowa zostały wypowiedziane przez Niemca, który przysłuchiwał się w polskim Wrocławiu wielogodzinnym namiętnym głosom wymieniającym długą litanię zbrodni dokonywanych przez niemieckich zaborców na polskim narodzie. Głosy te musiały ranić boleśnie nawet najbardziej postępowego i indywidualnie nie ponoszącego odpowiedzialności za popełnione zbrodnie Niemca. Nie ulega więc wątpliwości, że jedynie równocześnie wyrażana przez polskich mówców gotowość braterskiego stosunku do antyhitlerowców niemieckich umożliwiła Geraldowi Goettingowi wyniesienie tak optymistycznych wrażeń z Konferencji.

Jest rzeczą ważną, żeby wszyscy Polacy uświadomili sobie ten oczywisty fakt, że przede wszystkim naszym właściwym, szczerym stosunkiem do postępowych Niemców wzmacniamy walkę ze spadkobiercami hitleryzmu.

Ci postępowi, lojalni wobec naszej Ojczyzny Niemcy znajdują się także i po zachodniej stronie Łaby. W specjalnym biuletynie informacyjnym wydawanym z Zachodnich Niemczech przez znanego katolickiego działacza W. K. Gersta znajdujemy wielostronicowe sprawozdanie z obrad wrocławskich. W samym centrum antypolskiej, odwetowej nagonki, w Bonn — katolik niemiecki Gerst nie waha się mówić swoim ziomkom o proteście naszego katolickiego społeczeństwa przeciw wykorzystywaniu w Niemczech Zachodnich haseł chrześcijańskich dla organizowania antykomunistycznej „krucjaty".

A tym czasem „chrześcijański" minister rządu bonnskiego Jakub Kaiser zapowiedział przed paru dniami utworzenie oddziałów szturmowych (Stosstruppen), które mają bronić „ideałów i bezpieczeństwa członków „Chrześcijańskiej" Unii Demokratycznej Niemiec Zachodnich"...

Mimo jednak tego złowieszczego pobrzękiwania szabelką, coraz wyraźniej uwidacznia się kryzys nurtujący wśród samych inspiratorów trzeciej wojny światowej. Oto dotychczasowy przewodniczący t. zw. „Unii Europejskiej" Spaak zrezygnował nagle ze swego stanowiska oświadczając przy tym: „O ile plan armii europejskiej zawiedzie, Amerykanom pozostają dwie możliwości: albo remilitaryzacja Niemiec w oparciu o armię narodową albo odseparowanie się od kłótni europejskich i skupienie się na organizacji własnej obrony". Wprawdzie nie bardzo wiemy przed kim Amerykanie mają się bronić jednak w odniesieniu do wymienionej przez niego pierwszej możliwości przyznajemy p. Spaakowi słuszność: Jedyną siłą rzeczywiście zainteresowaną w rozpętaniu nowej pożogi jest oprócz rządu USA neohitlerowski Wehrmacht. I dlatego właśnie wspólna walka przeciw wskrzeszaniu tradycji Bismarka i Trzeciej Rzeszy stanowi miarodajny sprawdzian i potwierdzenie krzepnącej przyjaźni narodu polskiego z narodem niemieckim.

Ks. prof. Mieczysław ŻYWCZYŃSKI

KOŚCIÓŁ I REWOLUCJA FRANCUSKA

(fragment większej całości)

ZWIĄZEK Z MONARCHIĄ OŁTARZ I TRON.

SŁABOŚCIĄ Kościoła we Francji w XVIII wieku był jego szczególny związek z monarchią. Król francuski miał zgoła inne znaczenie w oczach katolików francuskich, w oczach kleru francuskiego, niż inni królowie wobec swych poddanych. Trzy się na to złożyły czynniki, ściśle zresztą ze sobą związane: dawna średniowieczna tradycja, gallikanizm i konkordat bolońki z 1516 roku. Pierwsza sięgała bodaj VIII wieku. Już wówczas bowiem, od czasu namaszczenia olejem świętym Pepina Małego na króla przez św. Bonifacego w roku 751 i po raz drugi przez papieża Stefana II w roku 754, zaczęło się wytwarzać przekonanie o sakralności osoby królewskiej. Prawda, że to namaszczenie zjawia się prawdopodobnie wcześniej na gruncie angielskim i hiszpańskim. W wieku IX praktykują je także i królowie niemieccy. Monarchia hiszpańska upadła jednak wskutek zajęcia Półwyspu Pirenejskiego przez muzułmanów, król angielski odpada w XVI w. od Kościoła, król niemiecki jest wybieralny tak jak i cesarz. Ale nawet i bez względu na to, król francuski jest pomazańcem bożym (chrystus) innego, wyższego niż pozostali królowie rodzaju. O ile bowiem ogół królów namaszczano oliwą poświęconą, zwaną olejem katechumenów, to króla francuskiego jedynie namaszczano krzyżmem, to jest oliwą zmieszaną z balsamem, bo według legendy, występującej po raz pierwszy w IX w., takie krzyżmo miało być zesłane z nieba św. Remigiuszowi podczas koronacji króla Klodwiga w 496 roku. W Średniowieczu przywiązywano do tego ogromną wagę, sądzono bowiem, że król ma z tego tytułu władzę cudownego leczenia niektórych chorób. Dotknięcie jego rąk miało leczyć ze skrofułów. Wierzył w to nawet największy teolog średniowieczny—Tomasz z Akwinu. I jeszcze w roku 1548 papież Paweł III mówił w bulli, wydanej z racji utworzenia wyższej szkoły w Reims, że *w tym mieście królowie francuscy otrzymali „namaszczenie św. i dar leczenia chorych"*.

Obok tego ważnego czynnika w grę wchodził, gdy mowa o tradycji, jeszcze inny równie niemal ważny. Królowie frankońscy pomogli papieżom stworzyć państwo kościelne, a to im dało tytuł opiekunów Kościoła, dało specjalne uprzywilejowane wobec papiestwa stanowisko. Wybór Karola W. w roku 800 na cesarza rzymskiego był i spotęgowaniem tej roli, i zwiększeniem świadomości narodu francuskiego o szczególnym znaczeniu króla Franków w Kościele. Karol Wielki sam ustanawia *„zgodnie z wolą Bożą"* biskupów, sam zwołuje ich synody i bierze w nich czynny udział. Wprawdzie papieże przenieśli później cesarstwo rzymskie na królów niemieckich, ale mimo wszystko świadomość wyjątkowej roli królów francuskich wobec Kościoła pozostała i nadal dzięki tradycji utrwala się przez fakty odwoływania się do nich papieży przeciwko cesarzom. Ściągając papieży do Awinionu w XIV w. i wywierając na nich nacisk nawet w rządach Kościołem, królowie francuscy nie sądzili, że popełniają nadużycie, uważali bowiem, że mają do tego specjalne prawo, tym większe, im gorzej — w ich mniemaniu — opiekę nad papieżem wykonywali ówcześni cesarze, i im bardziej — w mniemaniu prawników francuskich — papiestwo odchylało się od swego istotnego celu i znaczenia. Na zjeździe duchowieństwa i szlachty francuskiej w Louvre 12 marca 1303 r. przeciwko papieżowi Bonifacemu VIII król Filip Piękny wystąpił jako pomazaniec Boży, który ma obowiązek wypędzić z Kościoła nieprawego papieża, heretyka. Powoływał się na swą godność królewską, na przysięgę koronacyjną i na tradycję przodków. Król francuski jest zatem nie tylko panem Francji, ale i opiekunem jej Kościoła, jest niemal episcopus ad extra, to jest biskupem do spraw zewnętrznych Kościoła jak ongi w IV w. cesarz Konstantyn Wielki. Jeszcze w roku 1824 słynny pisarz Chataubriand w odzie napisanej dla uczczenia koronacji Karola X będzie mówił, że jest to *„kapłan i król w jednej osobie"*. Legiści francusy w Średniowieczu ujmowali to jeszcze dosadniej: *rex Francorum est quidam Deus corporalis*.

W pewnym związku z powyższym pozostaje dążność króla i kleru francuskiego do utrzymania własnej autonomii wobec Rzymu i ograniczenia wpływów papieskich, zwana gallikanizmem. Gallikanizm, siegający swymi początkami bodaj XI w., o ile nie wcześniej, był wyrazem teoretycznym szeregu elementów, a więc nacjonalizmu, który czasem potrafiono wywoływać przeciwko Rzymowi, zwłaszcza gdy uprawiał politykę, którą uważano za szkodliwą dla Francji, był wyrazem niechęci do dawania wymaganych przez papieża opłat, co uwidoczni się jeszcze w roku 1788, oraz różnych koncepcji prawniczych, które miały swą tradycję w walce kleru świeckiego z zakonami żebraczymi w XIII w., w rozkwicie prawa rzymskiego w wieku XIV i w humanizmie w wieku XV i XVI.

GALLIKANIZM nazwano chorobą Kościoła francuskiego, ale nie należy jego roli w stosunku do tego, co się stało po roku 1789, przeceniać. Podobne dążności antyrzymskie pod różnymi nazwami występują w wieku XVIII i w innych krajach Europy, w Niemczech, we Włoszech, a nawet, choć najsłabiej, i w Polsce. A poza tym gallikanizm króla i biskupów francuskich wcale nie był jakąś dążnością antykościelną. Hołdowali mu nawet ludzie bardzo religijni, bardzo do Kościoła przywiązani, jak choćby słynny biskup Bossuet w XVII lub Dupanloup w XIX w.

Gallikanizm w polityce był zjawiskiem, które towarzyszyło procesowi powstawania nowożytnych państw absolutnych, był wnioskiem z teoretycznego uzasadnienia interesów państwa, to jest „racji stanu". W wielu państwach utrudniał on stosunek wzajemny państwa i Kościoła. Ale inaczej było we Francji. Tu gallikanizm wzmacniał stosunek ich wzajemny, tak jak wzmacniała go omówiona wyżej tradycja. Poważną rolę pod tym względem spełniał także konkordat z 1516 roku.

Został on zawarty w okresie trwającej od końca XV w. rywalizacji między Francją a Hiszpanią o wpływy we Włoszech. Papieże w trosce o własną niezależność i o państwo kościelne przechylali się to na jedną, to na drugą stronę. Konkordat zawarty w Bolonii 18 sierpnia 1516 roku był następstwem takiego przechylenia się, przymusowego zresztą, papieża Leona X na stronę francuską. Król Franciszek I i jego następcy otrzymali wówczas prawo mianowania wszystkich biskupów, opatów i przeorów we Francji, wszystkie niemal sprawy kościelne miały być i w najwyższej instancji sądzone we Francji. W zamian za to król przekreślał u siebie skrajne, antypapieskie tendencje gallikańskie. Ten konkordat, choć krytykowany żywo przez współczesnych, oddał Kościołowi zaraz po kilku latach ogromną usługę. Gdy podczas Reformacji dobra kościelne stały się w wielu krajach łupem panujących i magnatów, gdy zabierał je król angielski i książęta niemieccy, król francuski przeciwnie — widział swój interes w obronie Kościoła. Przecież nie kto inny, lecz król rozporządzał tymi majątkami, to były w gruncie rzeczy dobra królewskie. Magnaci nie mieli się o co kusić. Tu nie było co sekularyzować, bo to już było zrobione uprzednio, odpadał zatem ten bezpośredni powód, który np. w Niemczech wielu książąt skłaniał do Reformacji. We Francji król ma w godnościach i związanych z nimi majątkach kościelnych kapitał na kupowanie sobie ludzi, na opłacanie swej — burzącej się jako stan średniowieczny przeciwko nowożytnemu absolutyzmowi — szlachcie. Tylko poprzez króla może ona sięgnąć po to dodatkowe źródło utrzymania, tylko poprzez króla zależy od papieża. Toteż i ze względu na dawną sakralną tradycję, i ze względu na własny interes zarówno polityczny jak i ekonomiczny królowie francuscy zwalczają u siebie Reformację.

Ale na dłuższą metę było to zjawisko dla Kościoła wysoce niebezpieczne. Król francuski utożsamił się z Kościołem, państwo i Kościół stanowiły jedność nierozerwalną, inne kościoły chrześcijańskie o innej strukturze mogły być co najwyżej tolerowane tylko dlatego, że z państwowego punktu widzenia były szkodliwe. To wszystko jednak stawiało króla francuskiego w dziwnej jak na czasy nowożytne sytuacji. Przede wszystkim musi on być katolikiem, tego wymaga i zakorzeniona w masach tradycja, i dobrze zrozumiany interes monarchii. Musi być, co więcej, władcą stale podkreślającym swą łączność z Kościołem i papieżem, władcą zwalczającym wszelkie herezje jako przeciwne z samej swej natury jego władzy, skoro jest faktycznie materialną głową Kościoła. Jest zatem w dalszym ciągu, mimo nowych teorii państwowych z okresu Absolutyzmu oświeconego, władcą średniowiecznym. To mu zdobywa, co prawda, cześć specjalną nawet u szczerze pobożnych katolików. Biskup Bossuet pisze, że *życie króla jest radością i najwyższym dobrem państwa, że dobry poddany kocha swego monarchę jak dobro publiczne, jak dobro państwa, jak powietrze, którym oddycha, jak światło swych oczu, jak życie własne i ponad życie własne*. To był nie tylko panegiryk, to był naprawdę wyraz kultu niemal religijnego, kultu szczerego, ale zarazem wysoce niebezpiecznego zarówno dla króla jak i dla Kościoła.

SZERZĄCA się w wieku XVIII ideologia Oświecenia, zwracając się przeciwko Kościołowi, musiała tym samym zwracać się i przeciw królowi. Ale i odwrotnie, występująca przeciwko absolutnej monarchii burżuazja musiała być zarazem wroga Kościołowi, skoro Kościół we Francji stał się tedy instytucją feodalną, związał się na śmierć i życie z formą ustrojową, która istniała niemal już tylko siłą inercji, w której uzasadnienie coraz mniej wierzono. Zachwianie się jednego z tych dwóch czynników prowadziło nieuchronnie do zachwiania drugiego. I dlatego też trzeba powiedzieć, że Kościołowi francuskiemu groziła ruina niezależnie od Rewolucji. Rewolucja tylko przyśpieszyła proces, który i bez niej był nieunikniony.

W literaturze historycznej, omawiającej przyczyny rewolucji francuskiej, mówiło się zwykle dawniej o złych, gorszących biskupach, jacy żyli pod koniec XVIII w. Pisano czasem, że i ogół biskupów stał nisko pod względem wiary i obyczajów. Jest w tym poglądzie i przesada, i — co więcej — nieporozumienie. Jest przesada, bo jak słusznie na to nowsi badacze zwrócili uwagę, złych biskupów wylicza się tylko paru i cytuje się stale te same nazwiska, a więc Talleyrand-Perigord, Lomenie de Brienne, de Jarente, La Font de Savine, Dillon — tylko pięciu, jeśli nie liczyć roztaczającego przesadny przepych biskupa strasburskiego, de Rohana. Choćby się nawet tę liczbę podwoiło czy potroiło, to i tak byłoby 12 czy 18 na 144 wszystkich. Prawda, że ci biskupi niegodni wywoływali zgorszenie ogromne, że — jak mówi historyk Rewolucji — *kompromitowali cały stan duchowny*, ale nie można w tym zjawisku widzieć jednej z bezpośrednich przyczyn rewolucji, choćby dlatego, że nie lepiej było w innych krajach, nie lepiej nawet w Polsce. I w niej procent biskupów gorszących nie był niższy niż we Francji. Nuncjusz papieski w Warszawie, Durini, pisał w roku 1770 do kardynała sekretarza stanu, że *na 17 biskupów, których liczy Polska, co najwyżej 5 może godnie nosić ten tytuł*. Sąd to przesadny, ale nie całkowicie niesłuszny, bo i skądinąd wiadomo, że marni biskupi nie byli w Polsce wyjątkiem. Ostrowski, Podoski, Kossakowski czy Młodziejowski różnili się od francuskich Dillonów i Jarente'ów tylko mniejszymi zdolnościami. Episkopat francuski, a z nim i Kościół we Francji, był słaby nie tylko, a raczej nie tyle dlatego, że miał w swym gronie paru biskupów gorszycieli. To nie była przyczyna, to było następstwo słabości. A słabość polegała nie na tym, że również i biskupów gorliwych też było niewielu, co najwyżej kilkunastu, reszta to ludzie przeciętni, średni, nie mogący być wzorem dla nikogo, choć nikogo też nie gorszący. Tą słabością było związanie ich wszystkich z monarchią na śmierć i życie, związanie z ustrojem politycznym i społecznym ancien régime'u, związanie z jedną tylko warstwą społeczną, choć dni tej warstwy były policzone. Z tego związania wynikały dwie groźne, groźniejsze niż niegodni biskupi, konsekwencje. Były nimi: podział społeczny duchowieństwa i specyficzny charakter nauczania kościelnego.

SKŁAD SPOŁECZNY KLERU FRANCUSKIEGO W PRZEDDZIEŃ REWOLUCJI

WŻADNEJ dziedzinie nie ujawnił się tak dobitnie związek Kościoła z istniejącym stanem rzeczy jak w składzie społecznym duchowieństwa francuskiego w XVIII w. To był już nie tylko związek z monarchią absolutną, to był, co więcej, związek z ustrojem społecznym ancien regime'u. Ten Kościół stał się odbiciem panującego ustroju feodalnego, był w swym składzie tak samo feodalny jak cała Francja ówczesna, był — mówiąc dokładniej — niejednolity, lecz wyraźnie pod względem społecznym dwuwarstwowy. Wszędzie w Kościele katolickim istnieje hierarchia władz, we wszystkich diecezjach istnieje biskup z pomocną sobie kurią i zależne odeń duchowieństwo parafialne. Biskupa dzieli od kleru stopień święceń i władzy, ale poza tym obecnie każdy ksiądz może zostać biskupem, kto ma do tego kwalifikacje moralne i umysłowe i kogo papież na to stanowisko powoła. We Francji XV w. było jednak pod tym względem zupełnie inaczej. Do roku 1516 biskupów we Francji wybierały kapituły, papież zatwierdzał. Brały ich zwykle spośród szlachty, tak zresztą było w całej Europie średniowiecznej, ale czasem wybór padał na plebejuszów tj. mieszczan, bardzo rzadko na chłopów z pochodzenia. Po roku 1516 zdarza się to dość rzadko, od roku 1783 nie ma ani jednego biskupa nieszlachcica. Wszystkich mianuje król, wszyscy w 100% należeli do szlachty. Ostatni plebejusz został arcypasterzem, zresztą jednej z najskromniejszych diecezji, w roku 1774, ale i on w dziewięć lat później zrzekł się tego stanowiska. Niektóre biskupstwa są stale w ręku jednej rodziny. Podobnie jak biskupstwa tak i wszystkie lepsze opactwa, wszystkie lepsze beneficja kościelne są w ręku szlachty. Co prawda, nie inaczej jest i w pozostałych krajach Europy, a więc i w Polsce. Godności i stanowiska kościelne stały się dziedziną, do której przechodzili ci spośród „lepszych" rodzin, którzy nie mogli liczyć na czysto doczesne powodzenie bądź z powodu swej ułomności, jak słynny Talleyrand, bądź dlatego, że nie urodzili się pierworodnymi, bądź wreszcie dlatego, by ratować zubożałą rodzinę.

A ratować jest czym, bo biskupstwa francuskie przynoszą swym posiadaczom znaczne dochody. Nie wszystkie co prawda, trzech biskupów miało tylko po 7.000 liwrow, dwunastu miało od 12.000 do 15.000 liwrów, reszta biskupów otrzymała jednak znacznie więcej. Najbogatszy był biskup strasburski z 400.000 liwrów rocznego dochodu. Poza tym jednak prawie każdy biskup miał jedno lub parę opactw albo przeoratów, dochody z dziesięcin i praw feodalnych. Uposażenie kapituł wszelkiego rodzaju było również znaczne, przy czym ich członkowie nie mieli żadnych zajęć. I oni, na ogół biorąc, rekrutowali się z tej samej warstwy społecznej co biskupi.

INACZEJ jest z klerem parafialnym. Proboszczów i wikariuszów jest we Francji w przeddzień Rewolucji około 50—60 tysięcy. Poza nielicznymi proboszczami w większych miastach ogół kleru parafialnego rekrutuje się z mieszczan i chłopów. Młody ksiądz plebejusz z urodzenia musiał naprzód starać się, by go ktoś z proboszczów wziął na wikariusza, potem zaś zabiegać, by patron, tj. potomek lub spadkobierca praw fundatora kościoła zaproponował go biskupowi na probostwo, samowolnie bowiem biskup może obsadzać tylko część parafii. Patronem może być szlachcic ziemianin, kapituła, opactwo, biskup lub król. Otrzymując probostwo z trudem i za cenę kłaniania się możnym tego świata ksiądz parafialny niewiele poprawia swą sytuację materialną. Tylko nieliczni proboszczowie w miastach są bogaci, ale oni się też zwykle rekrutują ze szlachty, ogół zaś, zwłaszcza w tych parafiach, które mają patronów duchownych, musi tym ostatnim oddawać większość dochodów. Poza tym ciężary, które Kościół ponosi na rzecz państwa, biskupi przerzucają na barki proboszczów. Sytuacja jest paradoksalna, proboszcz kłóci się z parafianami o jura stolae, o dziesięciny, słowem o dochody, które jednak zabiera kto inny, jemu zostawiając tylko pracę w zamian za niewielką pensję, tak zwaną portion congrue. W roku 1786 ustalono, że będzie ona wynosiła dla proboszcza 700 liwrów, dla wikariusza 500 rocznie. Były to pensje niewielkie, czasem zgoła niewystarczające, rażąco niskie w stosunku do dochodów biskupich. Wielu księży na wsi jest bardzo biednych, niektórzy są w nędzy. Ich sytuacja staje się jeszcze bardziej drastyczna, gdy się ją porówna z sytuacją finansową biskupów: przeciętnie biskup we Francji przed Rewolucją miał 50.000 liwrów rocznie, to znaczy 90 razy tyle co przeciętny proboszcz i 100 razy tyle co wikary.

Poza tym ten proboszcz-plebejusz ma drogę zamkniętą do kariery duchownej, choćby był i wykształcony, i gorliwy. Wobec swego biskupa jest właściwie pariasem, który nie ma często nawet odwagi zbliżyć się do jaśnie pańskiej ekscelencji, nie umie się znaleźć w pałacu biskupim, stoi społecznie niżej niż lokaj biskupi. Ale tez gdy wróci od biskupa i pomyśli, za czyje pieniądze roztacza się przepych tego ostatniego, musi ulegać uczuciom niechęci, czasem nienawiści, niekiedy zaś i pokusom przeciwko wierze i instytucji, która w ten sposób funkcjonuje. Nic dziwnego, że później wśród najradykalniejszych działaczy rewolucyjnych odnajdziemy księży i to w liczbie dość znacznej. Na to zjawisko klasowego składu społecznego kleru we Francji wszyscy badacze zwracają uwagę, nie wyłączając katolickich. Podobnie też podkreślają oni, że właśnie przedstawiciele kleru niższego przez połączenie się w czerwcu 1789 r. z przedstawicielami mieszczaństwa przyczynili się ogromnie do upadku ancien regime'u.

Ks. prof. Mieczysław Żywczyński

W następnym numerze ukaże się

spis treści tygodnika

„Dziś i Jutro" za rok 1951.

Józef SZCZAWIŃSKI

Na Zjazd Wrocławski

Ziemię odmierzaną sprawiedliwością,
rzeki, których brzegi znaczą Pokój,
ludzi hodujących swe troski i radości
przyniesione z daleka,
kamienie o sercach bijących
tak prędko i mocno
jak uderzają wieki
w katedralnym zegarze,
to wszystko co ma dla nas
cenę przyszłości, krwi i historii —
uchronią usta
darzące Bogiem ołtarze,
ręce zdejmujące z sumień i ramion
ciężary większe niż waga ziemi,
czoła, którym być dano
relikwiarzami mądrości...

— — — — — — — — — —

Miłość jest siostrą sprawiedliwości.
Nie umieją braterstwa ci
których serca
nie ważą więcej
niż jedno pokolenie.

Rozmowa z prof. dr. Stefanią Skwarczyńską

PROF. DR. Stefania Skwarczyńska, kierownik Zakładu Teorii Literatury na Uniwersytecie Łódzkim, znana jest dobrze czytelnikom „Znaku" i „Tygodnika Powszechnego".

Autorka „Czterech rozpraw" należy do grona naukowców, którzy dostrzegają życie nie tylko przez okna swej pracowni. Działalność prof. Skwarczyńskiej wybiega daleko poza ściany gabinetu naukowego i obejmuje oprócz zajęć naukowo-pedagogicznych na U. Ł., prace redakcyjne i publicystyczno literackie.

Głównym terenem działalności naukowca, są zawsze jednak prace badawcze związane z dziedziną wiedzy, którą reprezentuje, dlatego kilkadziesiąt minut rozmowy poświęconej przez prof. Skwarczyńską czytelnikom „Dziś i Jutra., wypełniły przede wszystkim sprawy związane z Jej pracami naukowo-badawczymi.

Teoria literatury, jedna z najmłodszych dziedzin w badaniach literackich, oparta o historię literatury i spokrewniona z filozofią, wywodzi się z dawnych badań nad poetyką, wykazując dążność do wydatnego rozszerzenia zakresu jej problematyki.

Badania teoretyczno-literackie związane są u nas ściśle z dorobkiem naukowym prof. Skwarczyńskiej, dlatego, też pierwsze pytanie dotyczy zarówno początków drogi naukowej autorki wielu prac teoretyczno-literackich, jak i ówczesnego stanu wspomnianej dyscypliny naukowej.

— „Po ukończeniu studiów polonistycznych i romanistycznych pod kierunkiem prof. prof. Kleinera, Bruchnalskiego, Porębowicza, i Czernego, działalność naukową rozpoczęłam od badań literackich. W roku 1925 ukazała się pierwsza moja książka p.t. „Ewolucja obrazu u Słowackiego". Badania z zakresu teorii literatury traktowane wówczas jeszcze marginesowo, przynależały częściowo do filozofii na odcinku literatury, a częściowo do wstępnych rozważań przy badaniach literackich. Nie były one wyraźnie zbierane w jedną całość, chociaż istniały już u nas wcześniej cenne prace z zakresu poetyki i stylistyki (K. Wóycicki), z zakresu metodologii badań literackich (Juliusz Kleiner i Zygmunt Łempicki); później Roman Igarden podejmuje problemy filozoficzne na odcinku dzieła literackiego".

— A jak przedstawiały się zorganizowane badania teoretyczno-literackie za granicą?

— „Przed wojną istniały katedry teorii literatury na uniwersytetach w Moskwie i Oxfordzie oraz katedra w Collège de France, którą zajmował Paul Valery. W Polsce habilitowałam się z teorii literatury pierwsza, potem ś. p. K. Troczyński, ofiara wojny".

— Pierwsze prace Pani Profesor pochodziły z pogranicza historii i teorii literatury. Czy nie byłaby Pani łaskawa powiedzieć nam jak nastąpiło w twórczości naukowej Pani Profesor przejście od badań historyczno-literackich do teoretyczno-literackich.

— „Tak, początkowo zajmowałam się badaniami historyczno-literackimi w szczególności twórczością Słowackiego i Mickiewicza np. w książce „O rozwoju wątków i obrazów w twórczości Mickiewicza", publikowałam drobniejsze studia w „Ruchu Literackim" i „Pamiętniku Literackim". W toku pracy historyczno-literackiej uświadomiłam sobie, że bez rozwiązania problemów teoretycznych nie podobna osiągnąć odpowiednich wyników. Dlatego też moje zainteresowania naukowe coraz bardziej konkretyzowały się wokół teorii literatury i jej szczegółowych zagadnień. Do nich należy przede wszystkim zagadnienie rodzajów literackich, które starałam się pokazać w szeregu studiów, jako odzwierciedlające rzeczywistość z jej z konkretnymi problemami. Zajmowałam się szczególnie badaniem tych zjawisk, które według tradycyjnej teorii literatury i inklinacji formalizmu, nie należały do dziedziny badań literackich, a które moim zdaniem decydowały o rozwoju i przemianach rodzajów literackich bogacąc przy odpowiednich warunkach historyczno-społecznych zasób dotychczasowych rodzajów literackich.

Szereg rozważań z tego zakresu skupiłam w „Studiach z zakresu teorii literatury" i dużej monografii „Teoria listu", która ukazała się w 1938 r.

— Po wojnie poza „Czterema rozprawami z zakresu teorii literatury", ukazała się pierwsza część „Systematyki głównych kierunków w badaniach literackich". Czy możemy się spodziewać dalszych części tej pierwszej pozycji naukowej obejmującej różne kierunki badawcze, ich założenia i stawiane sobie zadania?

— „Przypuszczam, że tak, poporządkuję bowiem materiały do dalszych tomów systematyki. Poza wymienionymi pozycjami opublikowałam szereg studiów szczególnie z zakresu teorii i historii dramatu na łamach „Życia literackiego", „Twórczości", „Przeglądu Filozoficznego", a przede wszystkim w „Pracach Polonistycznych", „Sprawozdaniach Łódzkiego Towarzystwa Naukowego" i „Sprawozdaniach P. A. U.".

— Nad czym Pani obecnie pracuje?

— „Przygotowuję do druku zbiór studiów obejmujący kilka nie publikowanych jeszcze rozpraw oraz piszę wstęp do „Myśli" Pascala.

— A jak przedstawiają się inne zamierzenia wydawnicze Pani?

—„Jak wspomniałam już, porządkuję materiały do dalszego ciągu „Systematyki", mam zamiar przystąpić do opracowania pierwszej części teorii dramatu. Do najobszerniejszych moich prac należy 47 arkuszowy „Zarys teorii literatury", obejmujący całokształt zagadnień z tej dziedziny złożony w P. A. U."

— Rozmowa nasza dotyczyła dotąd dorobku naukowego Pani Profesor, który bądź został już opublikowany, bądź też, mamy nadzieję, udostępniony zostanie odbiorcy w najbliższym czasie, wypełniając poważne luki w nauce o literaturze. Czy byłaby Pani łaskawa zapoznać naszych czytelników ze swoją działalnością organizacyjno-naukową i pedagogiczną?

— Swoją działalność uniwersytecką rozpoczęłam w 1937 r. jako docent na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, równocześnie zlecono mi wykłady na Wolnej Wszechnicy w Łodzi. W 1937 r. mianowana zostałam profesorem nadzwyczajnym Historii literatury i Teorii literatury polskiej na łódzkiej Wolnej Wszechnicy, po wojnie zaś powierzono mi katedrę teorii literatury na Uniwesytecie Łódzkim.

Moja praca organizacyjno-naukowa jest dość różnorodna. Jestem głównym redaktorem „Prac Polonistycznych", które redaguję wespół z dr. A. Kowalską i dr. J. Trznadlowskim. Prowadze prace nad „Słownikiem rodzajów literackich" związanych z działalnością „Łódzkiego Towarzystwa Naukowego" a przygotowywanym przez Zakład Teorii Literatury U. Ł. skupiającym pracowników naukowych z całej Polski. Żywo interesuję się pracami „Znaku", do którego komitetu redakcyjnego niegdyś należałam".

— Mam wrażenie, że praca naukowców posiada obok wielu cech wspólnych, również pewne rysy odrębne, w związku ze specyfiką poszczególnych dyscyplin naukowych. Wydaje mi się, że taką cechą charakterystyczną dla teoretyka literatury jest wszechstronność wyrażająca się w koniecznej znajomości podstaw szeregu nauk i materiałów, do których się odnoszą".

— „Od teoretyka literatury wymagana jest znajomość literatur obcych, opanowanie olbrzymiego materiału literackiego, doskonała orientacja w historii, w historii filozofii, psychologii, w problemach estetyki itp. a przede wszystkim w problemach językoznawstwa. Teoretyka literatury obowiązuje troska o to, by prawidłowo wyprowadzić z jak najbogatszych twierdzeń szczegółowych twierdzenia ogólne, by odkryć prawa rządzące literaturą a odzwierciedlające jej stosunek do rzeczywistości". —

— Jakie szczególne zadania ciążą na teorii literatury i jakie zagadnienia z zakresu wspomnianej gałęzi wiedzy zasługują zdaniem Pani na specjalną uwagę?

— „Poza wymienionymi już zadaniami na teorii literatury spoczęła między innymi odpowiedzialność za opracowanie terminologii badań literackich. Jest to sprawa zasadnicza dla każdej nauki.

Do szczególnych zagadnień wchodzących w zakres badań teoretyczno-literackich zaliczam wszelką problematykę związaną z dziełem literackim, i jego funkcją społeczną, a dotyczącą takich dziedzin jak m. in. genologia czyli nauka o rodzajach literackich, stylistyka, wersyfikacja oraz oczywiście metodologia badań literackich".

Dziękując Pani Profesor za zapoznanie nas ze swoim dorobkiem naukowym i podzielenie się uwagami dotyczącymi nowej gałęzi wiedzy, wyrażam nadzieję, że Jej bogaty dorobek naukowy stanie się dzięki publikacjom własnością wszystkich, którym zagadnienia literaturoznawcze są bliskie.

Rozmowę przeprowadził
Józef Szczawiński

Ryszard H. MICHALSKI

GŁOS W DYSKUSJI O METODZIE *)

Czy potrzeba rewizji?

NIE bez słuszności określa Charmont wiek XX jako wiek odrodzenia prawa natury. Jeśli na Zachodzie spotykamy takie postacie, jak: Geny, Stammler, Dabin i inni, to u nas w Polsce mieliśmy Cz. Martyniaka docenta U. J., zastępcę profesora filozofii prawa K. U. L. żywo interesującego się prawem naturalnym, a par excellance jego tomistycznym ujęciem (p. praca doktorska Martyniaka pt. Le fondement objectif du droit d'apres Saint Thomas d'Aquin. Paris, Bossuet, 1939) (1931).

Sam problem prawa naturalnego, powiedziałbym, stary jak świat a przynajmniej, jak długo na nim człowiek istnieje. Bo już pierwszy człowiek jest obdarzony ludzką naturą, która w jej zasadniczych aspektach pozostała tą samą naturą człowieka oscylującego pomiędzy dobrem a złem. Nad wykryciem istotnych wskazań prawa naturalnego pracują wieki i wciąż im trudno zdobyć się na pozytywny nakaz tegoż prawa bardziej sprecyzowany i konkretny, jak ten, który jest nam wszystkim znany: Bonum est faciendum et prosequendum, et malum vitandum. Może na bliżej określić w oparciu o arystotelesowską definicję człowieka, którego differentia specyfica oddzielającą go od świata zwierzęcego to — Ratio.

Wiemy, że: „Omne agens agit propter finem". — Każdy działa ze względu na cel. Tym celem dla działalności ludzkiej jest pierwszorzędny nakaz prawa naturalnego: Bonum est faciendum. — Należy czynić dobro, tzn. w zastosowaniu do człowieka: Należy czynić rozumnie, czyli należy postępować zgodnie z rozumem, bądź dalej, jak Martyniak: „Należy żyć w sposób godny człowieka".

Do powyższego powrócimy jeszcze, a teraz przejdźmy do konkluzji p. K. Łubieńskiego w jego artykule: „O rewizję metody" „Dziś i Jutro" nr 28. Z wnikliwością zanalizował autor dzieje katolickiej myśli społecznej, wszędzie napotykając problem prawa naturalnego — odnosi się jednak do niego z rezerwą, ze względu na zmienność jego wskazań, poddając jednocześnie myśl rewizji metody.

O cóż więc chodzi? „Rewizja polegałaby — pisze Łubieński — na przyjęciu jako podstawowego źródła katolickiej myśli społecznej, nie prawa natury, lecz pozytywnego prawa Bożego. „Cóż zniechęca p. Łubieńskiego w badaniach nad prawem natury? Ogólność jego wskazań, a w szczegółach zmienność, jeżeli dobrze zrozumiałem Autora. Już sam fakt zajmowania się tą kwestią przez Heraklita, odstrasza ortodoksyjnego katolika, bowiem momentalnie zestawia on problem prawa natury z Heraklitowym: Pan ta rei, unden menei. — Wszystko płynie, nic nie pozostaje bez zmiany — i stąd płynność prawa naturalnego, którą widzą również tacy autorzy, jak Ripert czy Stammler, a za nimi i p. Łubieński. Nie chcę na tym miejscu podejmować dyskusji nad zmiennością lub niezmiennością prawa naturalnego, chodzi mi raczej o postawienie kwestii, tak, jak ją ujął p. Łubieński. Prawo natury, czy pozytywne prawo Boże, podstawowym źródłem katolickiej doktryny społecznej?

We wstępie do mojej wypowiedzi na ten temat, pragnę zwrócić uwagę na stosunek Chrystusa do spraw społ.-gosp. i wszyscy przypuszczam zgodzą się na to, że ten stosunek nie był, ani pierwszorzędny, ani zasadniczy. Kiedy ktoś zwraca się do Chrystusa, by Ten wpłynął na jego brata, i żeby brat zechciał z proszącym podzielić się dziedzictwem, Chrystus rzecze: „Człowiecze! któż mnie ustanowił sędzią, albo dzielnikiem nad wami?" (Łuk. 12, 14). Wypowiedź Chrystusa chyba jest niedwuznaczna.

Faktem oczywiście jest, że z przyjęciem chrześcijaństwa znikają dawne, pogańskie instytucje spo.-gosp. i polityczne. Ale czy stworzone nowe będą katolickimi? N i e. Czy będą stałymi? Też nie. Znane nam jest zdanie nie tylko cytowanego przez Łubieńskiego, Troeltscha, ale ogólna opinia idąca po linii uznania wszelkich form życia średniowiecznego za najbardziej zbliżone do ideału chrześcijańskiego. Zresztą przyczyna jest zrozumiała.

Wprowadzona przez Ewangelię hierarchia dóbr jest następująca: primum, to — zbawienie, secundum, to — moralne życie na ziemi, a dopiero może tertium — ustrój społ.-gospod. i polityczny. Myśl katolicka w średniowieczu, to szczytowe osiągnięcie filozofii chrześcijańskiego realizmu w postaci drugiej syntezy, jaką reprezentuje t o m i z m.

Również kwestia stosunków społ.-gospod. średniowiecza godna jest zaaprobowania, jak chcą niektórzy, czy to sub specie familijnej wprost organizacji cechów, czy władzy królewskiej, która na ziemi urządzona na wzór omnipotencji Boga — Ojca we wszechświecie, czy wreszcie mierzona wpływem dochodów papiestwa — zawsze przedstawiała się dla spokojnego temperamentem katolika — jako ideał ustroju.

Feudalizm średniowieczny — najbliższy ideom chrystianizmu — jak chcą niektórzy, ustąpił miejsca kapitalizmowi, a ten wszedłszy w jego ostatnie stadium, to jest imperializm, stoi dzisiaj przed grobem wykopanym własnymi rękoma. Od początku rozwoju struktury kapitalistycznego świata, chrześcijańska, a par excellance katolicka doktryna społeczna skonstatowała, że świat nie idzie po linii jej postulatów. Ale czy te postulaty były konkretnie sprecyzowane? Twierdzę, że nie. Bo jeszcze dzisiaj p. Łubieński stawia kapitalny problem dla doktryny: podstawowe źródła katolickiej myśli społecznej. Chrześcijańska doktryna społeczna, a cofając się izraelicka, zajmuje się szczególnymi sytuacjami, nie wypracowując na tym polu syntezy. O wielkości poczynań pokoleń Starego Testamentu świadczą instytucje małego i wielkiego jubileuszu, przepisy z dziedziny ochrony i sądownictwa pracy w księgach Kapłańskiej i Powtórzonego Prawa. We wczesnym chrześcijaństwie znajdziemy Naukę Dwunastu Apostołów o wybitnym zabarwieniu społecznym, Didache. Potem liczne mowy św. Bazylego przeciwko lichwiarzom, nędzy głodowej i bogactwu. Spotkamy tam piękny wer-

(Dokończenie na str. 11)

*) Por. K. Łubieński „O rewizję metody" („Dziś i Jutro" nr 28/294). J. Zabłocki „Anachronizm metody sakralnej" („Dziś i Jutro" nr 45/311 oraz „Uwagi o panującej metodzie" („Dziś i Jutro" nr 50/816).

Jan POGORSKI

ARABSKIE AWANTURY

BYŁ to władca niewiekiego pustynnego państewka, a liczba jego poddanych dochodziła do półtora miliona. A jednak tragiczna śmierć Abdullaha nie przeszła bez echa w krajach arabskich. Tak samo jak po zamordowaniu generała Razmary, jak po zabójstwie libańskiego premiera, Riah-es-Sohla na gwarnych ulicach Wschodu rozlegają się coraz głośniejsze szepty: „Ab-

Pułkownik Abdul el Tel, inspirator zabójstwa króla Jordanii Abdullaha, po zamachu schronił się do Egiptu.

dullah zdradził Islam. Abdullaha spotkała zasłużona kara!".

Strzały, które padły z rewolweru arabskiego krawca były śmiertelne nie tylko dla króla Jordanii. Są one objawem upadku i bankructwa pewnej polityki zrodzonej z marzenia i przypadku, polityki trzeźwo brytyjskiej i barwnie arabskiej, polityki — jak się okazało — równie kruchej jak życie dynasty pustynnego Abdullaha.

Proces związany z osobami inspiratorów zabójstwa, który zakończył się niedawno w Ammanie powieszeniem d-ra Mussy-el Husseina i towarzyszy, odsłonił szereg faktów, które zaalarmowały nie tylko londyńskie biura I. S., nie tylko wydział Bliskiego Wschodu Foreign Office ale i poważną część angielskiej opinii publicznej, mimo ogólnego przejęcia się sprawą irańskiej nafty i brytyjskich interesów w Iranie.

A wszystko zaczęło się 35 lat temu od nieporozumień jakie miał młody londyński archeolog z nauką, że swymi przełożonymi, że sztabem wywiadu w Kairze, wreszcie — z Historią.

KRÓLESTWO „MADE IN ENGLAND"

KARIERA Tomasza-Edwarda Lawrence'a jest zbyt dobrze znana, by ją należało raz jeszcze przypominać. Dzieje swych walk na pustyni opisał on zresztą sam w sposób wysoce sugestywny na kartach pięknej książki o biblijnym tytule „Seven Pillars Widsom" — („Siedem Słupów Mądrości").

Ale awanturnicy przychodzą i odchodzą. Biura wywiadowcze I. S. pozostają. Tak samo jak niewzruszenie pozostają w mocy pewne stałe kanony rządzące polityką brytyjską na Bliskim Wschodzie. Wobec zobowiązań poczynionych Francji rząd brytyjski nie dotrzymuje obietnic synom szeryfa Mekki, sędziwego emira Hussein-ign-Ali. Syria i Liban przechodzi pod protektorat francuski.

Jest lipiec 1920. Abdullah zbiera pośpiesznie kilkanaście tysięcy Beduinów i rusza na północ, by zająć Damaszek i przepędzić Francuzów. Dla większego pośpiechu ładuje swą straż przyboczną i część piechoty na pociąg, który jedzie z Medyny do Maanu. W połowie drogi brakuje węgla w lokomotywie. Nie szkodzi. Abdullah każe rąbać słupy telegraficzne, których linia idzie wzdłuż toru i na tym improwizowanym paliwie zajeżdża do Transjordanii. W Syrii generał Gouraud przygotowuje się do walki. Zaniepokojony Foreign Office wysyła do Jerozolimy Lawrence'a, a z nim jedzie sam Winston Churchill

25 maja Abdullah zajeżdża do Jerozolimy. Tu czeka na niego pułkownik Lawrence. Wchodzą razem na Górę Oliwną. Na szczycie oczekuje gruby pan w jasnym kapeluszu. Churchill nie lubi się bawić w sentymenty.

Brytyjski minister kolonii postanowił oddać Irak Faysalowi. O Syrii i Libanie nie ma co marzyć. Czy Abdullah reflektuje na Transjordanię?

Cóż to takiego Transjordania?

Jeszcze jej nie ma, ale można ją stworzyć. Będzie to skrawek pustyni na wschód od Jordanu — niecałe 90 tys. kilometrów kwadratowych, pół miliona koczowników, trochę chłopów arabskich, parę miasteczek. Emirat? Nie. Królestwo. Szumny tytuł zakryje nędzną rzeczywistość.

16 kwietnia 1923 rząd Jego Królewskiej Mości uzna — „niepodległy rząd Transjordanii". Skarb brytyjski łożyć będzie na jego utrzymanie, a... oficerowie brytyjscy pracować będą nad jego bezpieczeństwem.

I czuwają. Nawet bardzo pieczołowicie. Powstaje i rozwija się wyborowa armia transjordańska, zakamuflowana przez Anglików pod nazwą „Legii Arabskiej".

Legia Arabska. Założycielem jej jest Anglik, pułk. Peake. Jej obecnym wodzem również Anglik, John Bagott Glubb, alias Glubb-Pasza, alias Abu-Khnek czyli „Ojczulek-o-krzywej-brodzie". W r. 1917 pocisk artyleryjski urwał mu kawałek podbródka, uszkadzając kość. Dlatego generał Glubb-Pasza zawsze wygląda jakby się uśmiechał ironicznie.

Siły Legii: ponad 40.000 ludzi dobrze wyszkolonych, wyposażonych w nowoczesny sprzęt brytyjski.

Zadanie: (oficjalne) zapewnienie pokoju i porządku wewnętrznego w Transjordanii i pieczа nad rurociągiem Kirkuk-Haifa. Zadanie nieoficjalne: pilnowanie władców arabskich i zagrzewanie ich do wierności dla Anglii.

ZAMIAST „ŻYZNEGO PÓŁKSIĘŻYCA" — UCHODŹCY

AMBICJE Abdullaha sięgały daleko. Marzył o zjednoczeniu „Żyznego Półksiężyca". Ów „Żyzny Półksiężyc", to właśnie wianek arabskich państw Bliskiego Wschodu: Syria, Liban, Palestyna, Irak, Transjordania, Hedżaz i Hadramaut. Piękne było by zjednoczyć te państwa pod wspólnym berłem starodawnej dynastii Haszemitów, pochodzącej w prostej linii od Proroka, a której Abdullah był trzydziestym czwartym dynastą.

Temu celowi miała służyć „Liga Arabska". Ale, jak sam powiedział kiedyś Abdullah; „Liga, to jeno piękna nazwa pustego naczynia, wokół którego huczy szum propagandy. To garść notablów bez najmniejszego kontaktu z masami".

Słowa te na pewno zawierają w sobie wiele prawdy. Zachodzi natomiast pytanie, jaki to kontakt z masami utrzymywał rząd Transjordanii i co uczynił, by zapewnić dobrobyt swoim poddanym.

A liczba tych poddanych wzrosła w ciągu ostatnich trzech lat niemal trzykrotnie. Wojna z Izraelem dała Abdullahowi jeszcze Cisjordanię, to jest Betleem, Jerycho, Samarię, Hebron i przynajmniej teoretycznie Jerozolimę. Równocześnie jednak ponad 800 tysięcy uchodźców arabskich z Palestyny: kupców, robotników, rzemieślników spada na pustynny kraik Jest to element nowy, czynny, wybuchowy i na ogół przyzwyczajony do wiele wyższej stopy życiowej i bardziej nowoczesnego systemu politycznego niż koczownicy feudalnej Transjordanii.

Ci uchodźcy, będący długo jeszcze źródłem niepokoju i wrzenia, ten palący problem, który zachwiał równowagą „Wielkiej Jordanii" — to zemsta największego wroga Izraela, który bezwzględnie usuwa ze swej drogi wszystkich tych członków Ligi Arabskiej, którzy nie wykazują dość entuzjazmu dla „Świętej Wojny".

WIELKI MUFTI I WIELKI ZBRODNIARZ

OKRUTNY Hadź-Amin-el-Hussein do dziś dnia stoi na czele terrorystycznej Maffii Islamu „Dżihad-el-Moktas". Historycy porównują go do średniowiecznego „Starca z Gór", wodza dawnej sekty Hassassynów-Morderców.

Podczas wojny, Wielki Mufti Jerozolimy przebywał w Berlinie, gdzie chętnie pozwalał się fotografować u boku Führera albo też podczas odbierania defilady mahometańskich oddziałów ochotniczych S. S. z Bośni i Macedonii.

Syoniści utrzymują, w sposób dość dowolny, że właśnie złowrogi Hadż-Amin-el-Hussein opracował, a następnie podsunął Himmlerowi, szatański plan wymordowania wszystkich Żydów, znajdujących się na terenach zajętych przez Niemców. Jemu też zawdzięcza Irak rewoltę Raszid-Ali-Ai-Kailaniego z 1941 roku, skierowaną przeciwko Wielkiej Brytanii.

Wtedy to po raz pierwszy występuje na arenie politycznej Bliskiego Wschodu elegancki młody doktór. Mussa-el-Hussein wraz ze swą piękną żoną. Pani Mussa jest przypadkowo Niemką, co znakomicie ułatwia kontakty awanturniczej pary z ambasadą Rzeszy w Ankarze i „turystami" niemieckimi w Syrii i Palestynie.

Zapewne przypadkowo również, widziano doktora w Libanie na tydzień przed zamordowaniem premiera Riah-es-Sohla, przedostatniego z żyjących sygnatariuszy dokumentu zawieszenia broni, którym zakończyła się wojna z Izraelem. Abdullah był ostatnim z przedstawicieli państw arabskich, którego podpis figurował na tym dokumencie.

Nie jest przypadkiem natomiast, że jeden z dowódców Legii Arabskiej, pułkownik Abdullah-el-Tel, opuścił szeregi Glubb-Paszy i schronił się do Egiptu, gdzie uzyskał błogosławieństwo i poparcie Wielkiego Muftiego Jerozolimy.

Rozwiały się marzenia Abdullaha o „Wielkiej Syrii" i o „Żyznym

Wielki Mufti Jerozolimy, sprzymierzeniec Hitlera z czasów ostatniej wojny.

Półksiężycu". Biedny krawczyk arabski Mustafa-Aszu strzelał do króla Jordanii, będąc przekonany, że za ten czyn czeka go wieczna nagroda. W kieszeni jego znaleziono poświadczenie imana, zapewniające mu dostanie się do raju. Dziś już wiadomo, kto skusił go obietnicą wiecznej szczęśliwości.

JORDAŃSKI HAMLET CZY ARABSKI WALLENROD?

NATOMIAST przez dłuższy czas nie było wiadomo, kto obejmie tron po zamordowanym królu Jordanii. Abdullah miał dwóch synów. Tylko, jeden z nich był szmuglerem, a drugi cierpiał na „depresję nerwową" według oficjalnego komunikatu. Faktem jest, że młodszego syna królewskiego, Naefa, przyłapała zeszłego roku policja libańska, jak

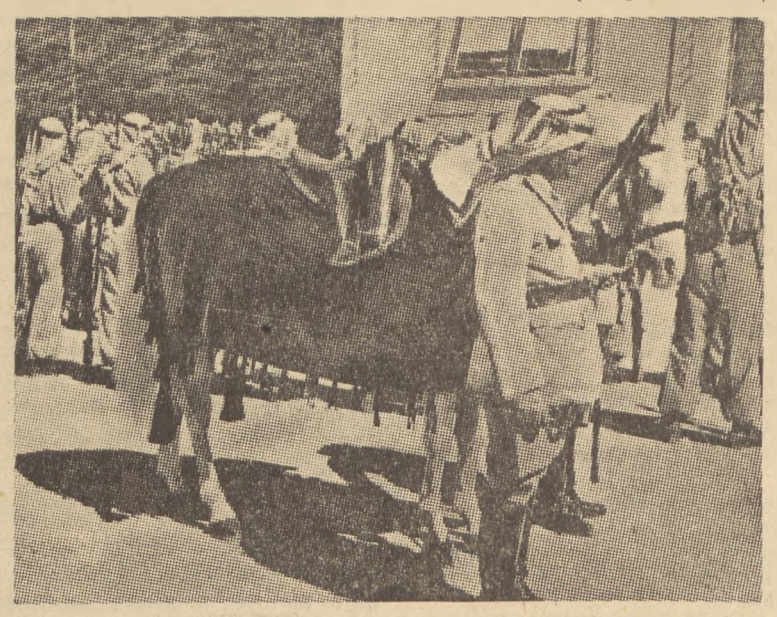

Fragment pogrzebu Abdullaha. Ulubiony koń monarchy w kondukcie pogrzebowym.

przewoził przez granicę kilka waliz narkotyków.

Starszy syn i następca tronu, Tallal, był już co prawda raz regentem królestwa. Regencja trwała tylko jeden dzień. Wtajemniczeni twierdzą, że w dniu tym Tallal rzucił się na swą żonę, chcąc ją zabić, a następnie przebiegał korytarze pałacu królewskiego w Ammanie, wywijając sztyletem i odgrażając się, że zabije „każdego kto stoi na drodze niepodległości Jordanii". Nerwowego księcia przewieziono czym prędzej do Szwajcarii i umieszczono w sanatorium dla nerwowo chorych w Prangins koło Genewy. Stamtąd chory Tallal przemycał listy do swego brata, w których zaklinał się, że chciał usunąć Glubb-Paszę i dlatego padł ofiarą „brytyjskich machinacji".

Toteż zdumienie urzędników sekcji Bliskiego Wschodu w brytyjskim Foreign Office było wielkie, gdy dowiedziano się, że książe Naef wysłał delegację do swego brata w Szwajcarii, prosząc go o powrót na tron swych przodków. Równocześnie lekarze sanatorium w Prangins wydali biuletyn, który określa stan zdrowia emira Tallala jako „zupełnie zadowalający".

Niedawno emir Tallal zjechał do Ammanu. Prosto z lotniska udał się do gmachu parlamentu jordańskiego. Deputowani, stojąc, przyjęli jego przysięgę „na wierność Jordanii i pamięć Proroka". Stamtąd wyszedł już nie emir, ale król Tallal, mając po prawej stronie układnego Naefa, o którym wiadomo, że serdecznie nienawidzi starszego brata, a po lewej generała Glubb-Paszę, którego obecny król próbował zamordować zaledwie pół roku temu. Wszyscy trzej uśmiechali się uprzejmie do siebie i do fotografów.

A więc zdawałoby się, że wraz z godnością królewską ogarnęły Tallala szacunek i miłość do Wielkiej Brytanii, zwłaszcza, że syna swego zapisał do angielskiej szkoły w Harrow, a szef sztabu Legii Arabskiej brygadier R. Broadhurst napisał wzruszający artykuł o „samotnym i melancholijnym bohaterze Wschodu, przyjacielu Anglików, który jest równie popularny wśród Arabów, jak jego ojciec".

Co prawda jeszcze przed czterema miesiącami, gdy pytano o jego zdrowie, Tallal oświadczył:

— „Czuję się zupełnie dobrze, ale wiedzcie, jeśli kiedykolwiek zachoruję, to z odrazy do Anglików!"

W Szwajcarii krążą wieści, że emir otrzymał żądane „świadectwo zdrowia" dopiero wówczas, gdy podpisał pewien dokument, w którym zobowiązał się do niezmiennego zachowania polityki swego ojca, przyjaźni z Anglią i USA.

Być może, że umysł jego został ulecziony. Trudno jednak uważać osobę obecnego władcy Jordanii za czynnik równowagi w obecnym układzie sił politycznych na Bliskim Wschodzie. Pomyśleć, że najsilniejszy bastion wpływów angielskich w tej części Azji zależny jest dziś w dużej mierze od stanu nerwowego nowoczesnego wschodniego Hamleta, który może się okazać także nowoczesnym arabskim Wallenrodem.

A ten „stan nerwowy" nie musi być dobry pomiędzy groźnymi szeregami żołdaków Glubb-Paszy — a przepełnionym nienawiścią do Anglików społeczeństwem arabskim.

Jan Pogorski

Frederi MISTRAL

Gawęda prowansalska

Lat kilka temu, wśród platanów naszych,
gdzie zwykle, byłem na mojej przechadzce.
Srebrniał odwieczerz. Strudzeni wieśniacy
odpoczywali, pod drzewy usiadłszy
i rad słuchałem, jak sobie gawędzą
i o pogodzie i o swych narzędziach,
kosach i pługach, motykach przeróżnych,
o zbożach, żniwie, że się latoś spóźni,
o mułach, sadach i o siarnożęciach,
o jedwabnikach i o gładkich morwach
i już na koniec — ot, gwarek wioskowy —
o dniu szczęśliwie minionym.

Akurat
z któregoś domu chłop i baba któraś
wyszli oboje i szli na kominki
wolno, wolniutko, by pogadać krzynkę.
Idą. Aż tu się chłop nagle odwraca
do połowicy i tak do niej:
— Anka,
drzwi nie zamknęłaś. Zamknijże.
— Kochanku, —
baba odwarknie mężowi — sam zamknij.
— Znów obrażona, nie wiadomo, na co.
Mówię ci, zamknij.
— Mówię ci, sam zamknij.
— Och, ty, bez mózgu. Kobito uparta,
z najgorszą z ośllc, dalbóy, jedno warta.
— Strach mu złodzieja!
— Nie ciebie, dom skradnie.
Żal po niewczasie, pocieszenie żadne.

Pamiętaj słowa ciotki Dominiki:
„Cało odmyka, kto na klucz zamyka".
Jazda! Zamykasz, albo dam po schabach. —
Wzięła się za bok, hardo spojrzy baba:
— Nie zamkniesz, Jasiu, to miej odemknięte! —
W krzyk Jaś, nieborak: — Jezu! Panie Święty:
Krzyżu za grzechy! Bodaj ją wciórności! —

A mimo wszystko drzwi stoją naoścież.

Dalej wieśniacy śmiać się do rozpuku.
— Jasiu, — wołają — nie maruź, chwyć buka! —
Lecz biedny Jasio dosyć się naswarzył:
— Czy się czymkolwiek wskóra z żoną Wszarza? —
Zaraz ciekawość zdjęła mnie, felibra.
Zagabnę Jasia: — Czyja? Czyją żoną? —
Poczciwiec z gniewu nie zdążył ochłonąć
sprawiedliwego, popatrzył i spłonął
i może w myśli mi życzył, „niech frybra".

A wtedy trochę grzeczniejszy, staruszek,
mówi śmiejący: — Siądź, panisko, chwilę.
Opowiem panu. Szczerd krotochwila.
Żart i nic więcej. — Nastawiłem uszu
i klap, na kamień. Mrok zapadł. Błyszczało
atoli niebo, po brzeg od gwiazd złote.
Z kuźni dzwoniły uderzenia młota:
kowal z rozmachem kuł żelazo białe.

— Raz pewien pasterz, miarkuj się jegomość, —
zaczyna stary — ze ślubna się skłócił.
Ba, nie nowina. Nie ma róży, juści,
żeby bez kolców. Rozmaicie doma.
Baba lubiła wszędzie wetknąć żądło.
Trudno. Chcesz, nie chcesz, owym złym gadzinom
słodko na sercu, gdy kogo ubodą.
Los, nie odmienić. Wszelako, mój synu,
zbyt się nie przejmuj i jeśli są chęci,
jeśliś zakochał się w pięknem dziewczęciu,
powiadam, żeń się i spodziewaj szczęścia.
Nie każda jędza i markotno człeku,
skoro bezżennik i dożywa wieku.

Powróćmy przecież między nasze stadło.
Złe babsko w kłótni tyle się rozjadło,
że ślipia ledwo na wierzch nie wyłażą.
— Nie stulisz pyska — krzyknie raptem — wszarzu
— Ja, wszarz? — obelga nie do darowania. —
— Wszarz! Wszarz!
— Na, naści — na odlew ją pasterz.
— Wszarz! — i żółć prędką zalewa niewiastę.
— Jeszcze jazgoczesz? Snadź nie starcza skropić.
Wywrzyj dziób, amen. W studni cię utopię! —
Babie, widocznie, gróźb mężowskich mało
i ryczy wkółko: — Wszarz! Wszarz! — Oszalała?
Nie. Baby często z rozsądkiem na bakier
i kuszą diabła. Czekaj końca gadki.
Mąż nie wytrzymał. Nie bał się pazurów,
żonę za kiecki, uczepił do sznura
i w głąb, i w studnię.
— Chę? Powtórzysz? — pyta
— Wszarz! Wszarz! — na sznurze majta się kobita. -
Szubieniczniku! Zobaczysz, nie wygrasz! —
Więc chłop ją głębiej. Nogi liże woda.
— Powtórzysz?
— Wszarzu!
— Skąp się, skąp się, wydro! —
Choć w studni chłodno, ona nie ochłodła.
Choć zimna mokrość kręgiem ściska biodra,
popod koszulę śliga się wzdłuż grzbieta
i sięga szyi, czort baba precz: — Wszarzu!
— Nie powtórz!
— Wszarzu!
— Zdychaj, kiedy rechtasz! -
i pastuch, który jednako się zażarł,
po czubek głowy zanurza Haźbietę!
Dy, mój panisko, powiesz, nie do wiary:
nie krzyknie, bo się zachłysła, ofiara
i tylko ręce wytknęła do łokci,
zaś dwa palce, niby, że paznogćmi
wszy gniotąc, chłopu pod nos wścibia drwiąco.
Na takie sztuki jak nie parsknął śmiechem!
Miękkiemu z gruntu, minęła gorącość.
Ciągnie ze studni i baby poniecha.

I właśnie odtąd, mój miły panisko:
która na męża, ząb za ząb, drze pyski,
te Żoną Wszarza obzywają kpiarze.
Ale świt rychło, a my gadu-gadu.
Dzieci, do domu. Posłuchajcie dziada.
Lepiej noc prześnić, niżeli przegwarzyć.

Przełożył z prowansalskiego JANUSZ KAWECKI

Jerzy STADNICKI

WIGILIA

Sytuacja: Grudzień 1944. Oświęcim. Blok 11, mieszczący: 1 — bunkier (ciemnicę), 2 — więzienie dla Ślązaczek, 3 — więzienie dla partyzantów śląskich, 4 — uczestników kwarantanny wolnościowej i transportowej i 5 — areszt dla SS-manów.

Dramatis personae:

1 Maurice Lelouche, l. ok. 25, Tunetańczyk bez zawodu, kat obozowy.

2 Johann Friedländer, l. ok. 70, feldmarszałek armii austriackiej.

3 Jan Zubrzyk, l. ok. 30, Polak, działacz ludowy.

4 Karl Schlager, l. ok. 40, SS-man.

5 Statyści.

PRAWNIE co wieczór zamęcza mnie Maurice, żeby opowiadać bajki. Moloch nienasycony. Leży sobie na pryczy, powieki ma półprzymknięte, ręką wodzi leniwie po głowie Mirka, zatopionego w książce. Mirek nie interesuje się bajkami — wiadomo, Słowianin. Zakratowane okna spoglądają nocą, ale sztuba pełna jest życia. Bronek z Józkiem i Cabajem grają w oko, od czasu do czasu ponad ich głowy wznosi się gwałtowna sprzeczka. I cóż to za przyjemność wiecznie grać razem i zawsze wzajemnie się oszukiwać? — De gustibus... Feldmarszałek Friedländer ze swoim odwiecznym, bawełnianym szalikiem przechadza się wzdłuż izby tam i z powrotem. Zubrzyk siedzi na trzecim piętrze łóżka i gapi się na mumie pluskiew, pieszą przylepionych do ściany. Ja mizerny, u stóp Maurica skulony Europejczyk, obieram cebulę, skrapianą łzami (trudno przecież, by Lelouche robił to samo) i opowiadam bajkę. I tak co wieczór, co wieczór grzebię w zakamarkach pamięci. Bajki Andersena i Perault, Oskar Wilda i P. de Ségur. Opisuję 77 sukien Rozalii i przy 7-ej brakuje mi już konceptu. Koronki, perły, aksamity, pliumaże. Rubiny jak kurze jajo — to chyba wcale nie takie ładne? Tors Maurice jest nagi, atletyczny, płowy jak piaski Afryki, które go zrodziły. Odpoczynek półboga. Powiesił dziś 5 ludzi — jest znużony.

Minęły przecież bezpowrotnie czasy Szeherezady, Saladyna, Fryderyka II i nawet czasy Bohuna. Nie ma dziś już rycerzy, którzy odrzuciwszy niedbale dymiący jeszcze kindżał rzucali się na drogi kobierzec, by szukać zapomnienia w bajkach. A przecież Maurice to krew z ich krwi i ciało z ich kości. Atawizmy włoskie? berberyjskie? — Kto go tam wi... Oprawca słucha uważnie. Niekiedy przerywa i żąda niezbędnego wyjaśnienia. Co to jest kandelabr? Albo dlaczego książe Gwadalbert nie „wziął" Rozalii od razu, tylko czekał jak safanduła chwili ślubu? Ciągnę dalej opowiadanie, stwarzam trudności, wznoszę góry, kopię przepaści. Ale Rozalia spoczywa już miłośnie w męskich ramionach ks. Gwadalberta. Wszystkie wróżki mają jubel. Koniec, kropka: Maurice się przeciąga, aż stawy trzeszczą, odsuwa ramię Mirka i znienacka rzuca:

— Słuchaj, Jurek — to prawda, że ziemia jest okrągła?

Pytanie wcale mnie nie zaskakuje. Maurice to prawie analfabeta. Więc poważnie tłumaczę, że tak, że prawda. Ziemia jest okrągł jak kula.

— A skąd my to wiemy?

Oj do licha! Z tym jest gorzej. Jakże to tam? II kl. gimnazjum i profesor geografii w Nowym Sączu...

— A-no, widzisz...

Usiłuję przytoczyć klasyczny dowód z latarnią morską i marynarzami. Olbrzym słucha, słucha, w końcu odpowiada sceptycznie:

— Ta ta ta. To wszystko bzdury wymyślone przez uczonych, żeby biedni ludzie musieli płacić podatki.

Skandal! Profanacja wiedzy! Więc ty sądzisz, głuptasie, że profesor Gryglewski potrafiłby fałszować naukę dla płaskich, materialnych korzyści? Ach, nędzniku! Gdybyś znał profesora! Gdybyś widział jego siwą brodę, okalającą usta niezdolne do kłamstwa!

Ale nie. Maurice wie dobrze, że ja mówię prawdę, że ziemia jest okrągła jak kula. Tylko chce mu się ze mną podroczyć. Dla niego nie ma nic świętego, nawet, Boże mu odpuść, nawet broda profesora Gryglewskiego.

URODZIŁ się w Tunisie. „Jestem Maurice Afrykańczyk", przedstawia się chełpliwie. Ojca miał Berbera, tragarza portowego, matkę Włoszkę, katoliczkę. Rodzice próbowali nauczyć go czytać, ale — powiada — nigdy im się nie udało. Wkrótce drapnął do Francji, gdzie rozpoczął bujny żywot. Handlował czym się dało: morfiną i kobietami i własną urodą. Był zesłany do Gujany, ale uciekł oczywiście. Pośród tego wszystkiego ożenił się nawet i ma 3 synów, nieponiów, z czego bardzo jest dumny.

A potem przyszła okupacja i szakal Sahary znalazł się w Oświęcimiu. Pracował wiele miesięcy w krematorium. Teraz już tam nie pracuje. Awansował na kata. Gdy zachodzi potrzeba siada do samochodu i jedzie dokonywać egzekucji.

Gdy Maurice mi o tym mówi, kiedy grzmocąc się pięścią w potężną pierś (a wiem, że to prawda): przysięgam, że wkładałem żywych ludzi do pieca — mam ochotę go się spytać, co by zrobił, gdyby mu kazano ściąć toporem mnie, jego przyjaciela. Czy by się zawahał? — Obawiam się mocno, że nie. I nie zadrżałaby mu pewnie ręka, gdyby mnie żywcem pakował do ognia.

— Chce pan — porozmawiamy — proponuje marszałek.

Maurice ma oczy czarne, oczy diabła, oczy, których się nie ważę opisać. Feldmarszałek Friedländer ma bystre oczy wojskowego i rumianą, starannie ogoloną twarz. Nie mogę odejść. Trzeba szykować wieczerzę. Ale na chwilę... Dobrze jest z nim czasem pogadać o Praterze, wyścigach, wielkiej wojnie itp. nieważnych sprawach. Do kotła staje zawsze w kolejce, choć wszyscy ustępują mu pierwszeństwa. Pięknie gra na skrzypcach. Pewnie znowu będzie opowiadać o pasterce u św. Stefana i kardynale Initzerze z ręką wzniesioną do błogosławieństwa... — „Niezapomniane młody przyjacielu, niezapomniane!" Jak mu wtedy oczy fosforyzują... Jest konwertytą, nawróconym z mozaizmu. Ale nie. Zaczyna się użalać na Schlagera.

Nomen omen. Schlager lubi „schlagen". W ogóle jest idiota, typowy SS-mański jełop. Od czasu do czasu miewa z nami umoralniające pogadanki, które z reguły kończą się mordobiciem. Czyż nie powiedział mi kiedyś: Nie mogę ci wyrwać tego, co masz w sercu — ale cię wychowam. Już ja cię nauczę, jak masz myśleć w nadorowo-socjalistycznej III Rzeszy. I buch mnie w pysk! — Ma pan rację SS-Untersturmführer Schlager. To jest sposób przekonywania właściwy ludziom narodowo-socjalistycznej III Rzeszy. Tylko bardzo mi smutno, ale jestem Polakiem, w dalszym ciągu nie przekonanym i co gorsza, nie uważającym się wcale za obrażonego.

Dla Friedländera Schlager miewa więcej względów. I jego wzywa na „duchówki", ale prosi siadać i tylko pytania stawia beznadziejnie kretyńskie. Właśnie marszałek mi się skarży: Pytał się mnie, czy mam dzieci. Powiedziałem, że nie. — Jakto! — zawołał, to Feldmarshall nie wie, że jest obowiązkiem obywatela narodowo-socjalistycznej III Rzeszy dać państwu dzieci? — Panie, woła z rozpaczą Austriak! jak było mu wytłumaczyć, że gdy III Rzesza nastała, to ja miałem 60 lat!

Istotnie, trudno takie rzeczy wytłumaczyć Schlagerowi. Hermetyczna, nordycka opona w najlepszym gatunku chroni dokumentnie jego szpiczasty mózg przed maltuzjanizmem, socjalizmem, defetyzmem i w ogóle przed „Judentum", odpowiadam marszałkowi, który, jako półkrwi Żyd, uśmiecha się figlarnie. Pojawienie się Friedländera na bloku wzbudziło ongiś sensację: obszedł sztubę, przedstawiając się każdemu z osobna, co wywołało niemało komentarzy wśród nas nie nawykłych do takiego Wersalu. Ale zaraz na drugi dzień zmonitował b. przedstawiciela Forda na Europę za to, że nieupoważniony wmieszał się do rozmowy, którą marszałek raczył mnie zaszczycić.

TRZEBA jednak odejść do obowiązków. Maurice gotuje już kolację. Jest kucharką, ja — podkuchenną! Phi! Dziś jeszcze zjadłbym sporządzoną przezeń baraninę „po afrykańsku", tzn. z ryżem i taką ilością papryki, cebuli i czosnku, że najbliższą noc spędza się na pisuarach, a usta są przez kilka dni zupełnie poparzone.

Cabaj i Bronek zrywają się, siadają z powrotem, skaczą sobie do oczu, przekonywająco walą pięścią w stół. W zacietrzewieniu strącają na ziemię tekturkę z pokrajaną cebulą. Maurice się zrywa, jak ugodzona pantera. Jednym uderzeniem dłoni wyrzuca Cabaja za drzwi. Bronek ma mniej szczęścia: uderza głową o kant pryczy. Żaden nie ripostuje — niech by tylko spróbowali! Wstyd mi przed Polakami przynależności do klanu Lelouche, choć właściwie — jest bardzo popularny. Ale ta nienawiść do Polaków, z którą się afiszuje... Opowiada np. z dumą, że ścinając naszym partyzantom głowy mówi do nich w duchu: Enculé de Polonais — voilà ton compte! (p... Polaku — masz za swoje!). Nikt tego co prawda serio nie bierze, bo mój przyjaciel nie lepiej się wyraża o własnych ziomkach. W ogóle zgrywa się gdzie i jak może. Ale zawsze... Jaś Zubrzyk wyraźnie krzywo się patrzy na naszą przyjaźń. Niby nic nie mówi, ale ja czuję, czuję... Zubrzyk nigdy nie chciał o mnie przyjąć resztek z lelouch

KATA

wych kolacji. Tłumaczyłem mu, że to nie są honoraria za egzekucje, tylko prywatna organizacja kata. — Gdzie tam! Nie będzie jadł i koniec!

Wracam do marszałka. Po wygłupianiu Leloucha obcowanie z tamtym jest odprężeniem. Takie antidotum spokoju. — „W czasie ofenzywy 15 roku jadłem w Sanoku mój pierwszy barszcz". — Friedländer wymawia „barszcz" poprawnie. Godne zanotowania. Cebula skwierczy w margarynie. Zjadłoby się barszczu — ha! Z botwinką i jajkiem.

— Jurek, pokrajałeś kiełbasę? — krzyczy Maurice.

Nie. Nie pokrajałem kiełbasy. Nie chce mi się krajać kiełbasy. Chce mi się patrzeć na bulgocący tłuszcz, sycić nozdrza aromatem smażonej cebulki i słuchać anegdot o Franz-Josephie — Pan wie, że cesarz do końca życia spacerował bez eskorty po Wiedniu? — Bardzo być może. Ale przecież nie o to chodzi. I nawet nie o to, że szedł codziennie o 5 wieczór do Katarzyny Schart na kawę z rogalikami. Chodzi o to, że teraz łymią krematoria, dudni ziemia pod kałuszami, a nam się udaje wykraść historii tę godzinkę spokoju i oszukać Schlagera. Ktoś gra na harmonijce. Ktoś woła: Gdzie jest mój pędzel do golenia? Nikt nie widział? — Nikt nie widział. Cebula robi się pąsowa.

Już od chwili capo Fritz przegląda książkę, leżącą na pryczy marszałka. Tamten to widzi, zmarszczył się, przygryza wargi, ale się opanowuje, rozmawia ze mną dalej. Nagle po jakichś 10 minutach, zupełnie ni w pięć ni w dziewięć wyrywa capie książkę z ręki, pouczając go przy tym ostro, że cudzych rzeczy bez pozwolenia się nie rusza. Capo reaguje po swojemu, tzn obrzuca Friedländera gradem najordynarniejszych niemieckich wyzwisk. Z kolei tamten, któremu nikt nigdy w podobny sposób nie ubliżył skacze jak oparzony i oświadcza... że mam być jego świadkiem.

Sytuacja nader dla mnie niezręczna. Przede wszystkim wszelka sprawa honorowa w obozie koncentracyjnym ma posmak humorystyczny. Ale to by było pół biedy. Gorzej, że ja, Polak, mam być świadkiem w sporze 2 Reichsdeutschów. Schlager będzie się musiał o wszystkim dowiedzieć, a wówczas... wolę o tym nie myśleć. A przecież nie mogę z drugiej strony odmówić zelżonemu staruszkowi świadczenia w jego sprawie. To jest minimum, do którego obowiązuje mnie przyzwoitość. Głupia historia. Jestem wściekły. Że też nigdy nie może być dnia bez awantury. Najczęściej z Mauricem. Też erotuman (uwaga dla korekty: nie „erotoman"). Np. apele. Stoimy na placu między blokiem 11 a 10. Na wprost nas, przy otwartych oknach kobiety odprawiają modły. Nie bez kozery wybierają zawsze chwilę apelu dla swoich pobożności. Wychowany na regulaminie: „Gdy się modlisz — zamknij drzwi od izdebki swojej" — bardzo tych ostentacji nie lubię, ale Maurice to rozczula. Upewnia się tylko, że Schlagera jeszcze nie ma, jednym susem dopada do okna i podaje błyskawicznie poprzez kratę chleb, papierosy i skreślony przeze mnie pod jego dyktandem liebesbrief. Nie wątpię, że koleżanki z parteru muszą się potem zapamiętale wodzić za czupryny o te względy — zupełnie platoniczne. Ale Lelouchowi raczej chodzi w tej grze o przyjemność ryzyka. Uda się — nie uda? Udaje się zawsze, ryzyko zaś nie jest zbyt duże, bo Schlager to cherlak, a skóra Leloucha jest afrykańsko twarda i cóż to dla niego za ryzyko 25 bykowców! — Tyłek nie szklanka. W ogóle Maurice nigdy spokojnie nie ustoi na placu. Nic to, że Schlager kręci się w pobliżu, a feldmarszałek mierzy kata wzrokiem pełnym dezaprobaty. Chłopca formalnie roznosi. Pełno ma interesów właśnie teraz, kiedy najmniej wolno, a wszystkie nie cierpiące zwłoki. Przecież musi zeszyć nogawki stojącym przed nim Abramowi i Zubrzykowi. Gdy potem zaryją nosem w piasek, Maurice będzie się klepać po udach z wielkiej radości. To znów intonuje jakiś francuski hymn pijacki, opiewający dosadnie rozkosze urżnięcia się w pestkę. Wszyscy musimy wtórować, nawet SS-mani odsiadujący kozę ryczą z okien 1 piętra. A Maurice zachęca opieszałych swoim specyficznym esperanto: Eh bien, was ist, alle zusammen, — nom de moja babcia!

AZNÓW te przyjęcia. Jestem jedynym Polakiem, biorącym w nich udział. Zasadniczo tylko Francuzi i Belgowie bywają dopuszczani. Ja jednak jestem w łaskach, albowiem pierwszego dnia pobytu Maurica na bloku poczęstowałem go, nie wiedząc nota bene kim jest —papierosem. Maurice oświadczył, że tego się nie zapomina. Niech i tak będzie. Koniec końców wchodzę w skład „dworu" Leloucha, złożonego, jak się rzekło, wyłącznie z Francuzów i powinowatych. Maurice jest wielkim patriotą. Utrzymuje bezinteresownie 5 czy 6 rodaków. Razem z kobietami z dołu żywi około 10 ludzi. Niewątpliwie memu przyjacielowi pochlebia ten taniec dookoła jego osoby. Primadonną baletu jest Mirek, jeden jeszcze nie-Francuz, piękny, 16-letni młodzieniec, który ma pryczę obok pryczy Maurica, a w czasie bitwy spoczywa na jego łonie. Gospodarz nakłada gościom ogromne porcje, zabawia ich rozmową, śpiewa arabskie piosenki, tylko czasem, jak Gallowie z opisów Cezara, pokłóciwszy się z którymś z zaproszonych chwyta go za kołnierz i wyrzuca precz od stoła (dla korekty: „stoła", nie — „stołu"), — po czym znów zapanowuje wesoły nastrój. Maurice, z ustami pełnymi baraniny opowiada, jak kiedyś, na przedmieściu Montmartre zobaczył „dziewczynkę", reklamującą się: Za 50 franków — to jak za darmo. — Podszedł do niej i powiedział, że jej da 100. — Dlaczego 100? — zdziwiła się gejsza. — Bo mam mały felerek. — O, kotku, za 100 fr. — wszystkie felerki, jakie ci się podobają! Ale gdy przyszło do rozrachunku, opowiada mój bohater, to ja ją bęc! z prawej strony i bęc! z lewej i bęc! i bęc! — Łotrze! Bandyto! jęczała, — zawołam policję! — O co chodzi, spytałem, przecież cię uprzedziłem, że mam mały felerek. A polega on na tym, że będę cię bić tak długo, aż mi oddasz moje 100 franków!

Jaś Zubrzyk, wysłuchujący tych przechwałek ze swojej pryczy, rzuca: Maurice! A gdzieś ty to usłyszał? — Zrobił tamtego na szaro. Więc zirytowany Lelouche woła: Czekaj! Ja cię jeszcze dostanę! Jak ci będą ucinać głowę — to nie od razu umrzesz! — Ten niby żart ma jednak posmaczek realności.

Zubrzyk — to znowu ateusz i działacz ludowy z Małopolski. Małomówny, świetny obserwator życia i dowcipny. A poza tym taki: nazajutrz po awanturze z marszałkiem, w czasie pracy zjawił się nieoczekiwanie capo z baniakiem zupy, postawił przed nami i kazał jeść. Gdy w lagrze dają wałówkę — nikt nie pyta co i dlaczego, więc każdy porwał łyżkę i dalejże zaiwaniać! Zupa była extra, jarzynowa, z całymi marchewkami, liśćmi kapusty, pietruszką, ziemniakami, wonna, apetyczna, jakże odmienna od zwykłych, wstrętnych zup lagrowych. Dopiero po nasyceniu pierwszego głodu ktoś zapytał, co ta gratka ma znaczyć. Okazało się, że capo przychwycił grupę Żydów na sekretnym gotowaniu, wobec czego skonfiskował im jedzenie i oddał nam, tj. kwarantannie wolnościowej. Fakt ten, niewątpliwie przykry, nie odebrał nam apetytu. Jeden tylko Zubrzyk momentalnie odstawił miskę. I jak zwykle, na nic się nie zdały perswazje, że tamtym i tak zupy nie oddadzą. Zubrzyk odznaczał się tym, że w każdej sytuacji wiedział najdokładniej jak ma postąpić, aby zachować postawę wyprostną. Był pod tym względem nieomylny. I nie polegało to wcale na sugestii, gdyż a posteriori, w wiele lat potem musiałem przyznać, że tak właśnie należało się zachować.

CIEMNIAŁO już, gdy wracaliśmy do lagru. Była wigilia — nikt jakoś nie rozmawiał. Obok słynnego napisu: Arbeit macht frei — stała ogromna jodła-urągowisko, jarząca się dziesiątkami kolorowych żarowek. Były zielone, czerwone, niebieskie i żółte — machinalnie różnicowałem kolory. Druga wigilia, którą spędzałem w obozie, dla wielu kolegów — czwarta. Dziwne uczucie, kiedy człowiek pyta sam siebie: właściwie — dlaczego nie jest mi przykro? W rzeczy samej, nie było mi przykro, ani trochę. Przeciwnie. Jutrzejszy dzień miał być wolny od pracy. Wiedziałem też, że będzie lepsze jedzenie — ziemniaki w mundurkach. Tylko byłbym pragnął uniknąć nieznośnego patosu tego wieczoru. Ale o tym nie było nawet mowy. Musiała się odbyć wigilijna wieczerza z udziałem wszystkich Polaków na sztubie. Kolacja — jak kolacja, dlaczego nie, ale te dodatki, myślałem z odrazą, ten napuszony ceremoniał, od którego nie sposób się wymigać. Nie miałbym nic przeciw temu, by ten dzień był taki, jak wszystkie inne, nawet gorszy, tak właśnie byłoby lepiej, uczciwiej. Ale ta parodia uroczystości rodzinnej... z największym tylko przymusem, by nie montować bloku przeciwko sobie, gotowałem się wziąć w niej udział. Bratnią duszę znalazłem w Zubrzyku. Ten, usadowiwszy się koło mnie za stołem z głęboką ironią wysłuchiwał patetycznego przemówienia prof. Moczulskiego (taki zawsze się znajdzie, w najporządniejszym towarzystwie) i kopał mnie znacząco, gdy prelegent uderzał w górne „C" uczucia.

„...zebraliśmy się tradycyjnym zwyczajem... (tradycja — coś dla SS-manów, szeptałem na ucho Zubrzykowi)... na ołtarzu narodowej ofiary... przedmurze chrześcijaństwa... (czy on do reszty zgłupiał?)... bo prawdziwa polskość — to krzyż i miecz... (ty wiesz, że on siedzi za bimber?)"

A przemówienie toczyło się dalej, utrzymane w coraz to podnioślejszym tonie. Tylko poczucie jednomyślności z Zubrzykiem pozwalało mi wytrzymać nerwowo. Było w tej elokwencji wszystko: Bolesław Chrobry i 3 królowie, To-

(Dokończenie na str. 12)

Notki kulturalne

Międzynarodowy Komitet Nagród Stalinowskich „Za utrwalenie pokoju między narodami" na posiedzeniu w Moskwie przyznał następujące nagrody:

prezesowi Chińskiej Akademii Nauk Kuo-Mo-żo, deputowanemu do parlamentu włoskiego Pietro Nenni, deputowanemu do parlamentu japońskiego prof. Ikuo Ojama, angielskiej działaczce społecznej Monice Felton, pisarce niemieckiej Annie Seghers, pisarzowi brazylijskiemu Jorge Amado.

×

W Montpellier (Francja) zmarł niedawno w wieku 67 lat znany historyk Augustin Fliche. Augustin Fliche zajmował się specjalnie historią kościoła. Od r. 1919 był profesorem uniwersytetu w Louvain, napisał wiele dzieł na temat reformy gregoriańskiej i chrześcijańskiego średniowiecza. Od 1934 r. redagował wielki zbiór pt. „Dzieje Kościoła", z których ukazało się 14 tomów.

×

Znany katolicki teolog Romano Guradini, jeden z najlepszych znawców liturgii katolickiej, profesor filozofii chrześcijańskiej na uniwersytecie w Tubingen, autor około 200 publikacji, wydał niedawno nowe dzieło pt. „Das Ende der Neuzeit" (Koniec nowych czasów). Jest to praca z zakresu filozofii historii.

×

W Szwecji, której ludność jest w swej większości protestancka, a katolików jest zaledwie około 6000 wychodzi pismo katolickie pt. „Credo", pismo to cieszy się dużą poczytnością wśród protestantów.

×

Niedawno w Rzymie została oddana do użytku wiernych bazylika Św. Wawrzyńca, która była zniszczona skutkiem bombardowania podczas ostatniej wojny. Bazylika św. Wawrzyńca jest jedną z najstarszych świątyń Rzymu, wybudował ją bowiem w IV w. Cesarz Konstantyn Wielki.

×

Kijowskie studio filmowe wypuściło ostatnio nowy kolorowy film biograficzny pt. „Taras Szewczenko" — film ten jest poświęcony życiu wielkiego ukraińskiego poety Tarasa Szewczenki.

×

W Bukareszcie zostanie wybudowany nowy Teatr Muzyczny. Będzie on posiadać 1200 miejsc, ruchomą scenę. Zaopatrzony będzie w nowoczesne reflektory i transformatory produkcji radzieckiej. Będzie to jedna z najwspanialszych budowli Bukaresztu.

×

W 985 węgierskich szkołach powszechnych dla ludności pracującej uczy się w r. b. około 19.000 osób. Oprócz szkół powszechnych czynne są 37 gimnazja ogólnokształcące oraz 48 średnich szkół ekonomicznych.

×

W dn. 8 grudnia zainaugurowany został w Muzeum Sztuk Pięknych w Paryżu „Salon de l'Art Libre" (Salon Wolnej Sztuki).

Wśród artystów biorących udział w wystawie znajdujemy licznych Polaków, m. in. artystów-malarzy: Janinę Drohocką, Irenę Pokrzywnicką, Kosmowskiego, Kernerównę, Ordyńską.

×

Na miejsce zmarłego niedawno Louis Jouveta profesorem paryskiego „Conservatoire d'Art Dramatique" został mianowany Pierre Renoir.

Renoir, jest jednym z najwybitniejszych aktorów francuskich, należy do najstarszych członków zespołu Jouveta.

×

Wielka międzynarodowa nagroda architektury Brazylii wynosząca około 2 milionów franków została przyznana postępowemu architektowi francuskiemu Le Corbusier.

Drugą nagrodę (ok. mln. fr.) przyznano architektowi włoskiemu Pier Luigi Narvi, specjaliście w dziedzinie żelazo-betonu.

×

Nakładem budapeszteńskiego wydawnictwa Literatury Pięknej ukazała się w języku węgierskim „Antologia Poetów Polskich". Antologia zawiera wybór poezji polskiej — począwszy od Jana Kochanowskiego poprzez Adama Mickiewicza aż do poezji współczesnej.

×

W grudniu ub. r. w Leningradzie została otwarta wystawa prac artystów leningradzkich. Spośród wystawionych prac 200 przeznaczono na Wystawę Ogólnokrajową ZSRR.

×

Znakomity aktor Pierre Brasseur będzie grał rolę Makbeta w mającym być wkrótce zrealizowanym filmie francuskim. Według wersji krążącej w kołach artystycznych Paryża tragedia Szekspira ma być przerobiona na scenariusz filmowy. Jednakże scenarzysta pragnie stworzyć dramat współczesny.

×

Niedawno na francuskim rynku księgarskim ukazała się książka pt. „La Pologne".

Autorem tej pracy jest Jean Noaro, sekretarz Towarzystwa Przyjaźni Francusko-Polskiej.

×

Wydawnictwo młodzieżowe Związku Młodzieży Rumuńskiej przewiduje wydanie w 1952 r. 300 tytułów o łącznym nakładzie 6.500.000 egzemplarzy. Z zakresu literatury dziecięcej będzie wydanych 160 tytułów o łącznym nakładzie 4.000.000 egzemplarzy.

×

W listopadzie r. ub. zmarł czechosłowacki poeta Konstantin Biebel.

×

Oryginalny jubileusz był obchodzony w Moskwie. Było to 205-lecie wydawnictwa książki K. Stanisławskiego pt. „Moje życie w sztuce". Dzieło to odegrało wielką rolę w rozwoju radzieckiej sztuki teatralnej.

Ostatnie statystyki wykazały, że Rzym liczy 1.600.011 mieszkańców; w r. 1947 liczył — 1.573.994 mieszkańców. A w Rzymie starożytnym mieszkało dwa miliony obywateli.

×

Związek Artystów Plastyków Rumuńskiej Republiki Ludowej z siedzibą w Bukareszcie posiada 4 filie i 7 kółek plastycznych w różnych miastach Rumunii, skupiają one ogółem 748 członków.

×

W Budapeszcie została otwarta II wystawa plastyki węgierskiej. W Salonie Sztuki wystawiono ponad 300 dzieł współczesnych malarzy i rzeźbiarzy węgierskich.

×

W Moskwie czynione są ostatnio przygotowania do rozdziału Nagród Stalinowskich w zakresie literatury i sztuki za rok 1951.

×

W ZSRR ukazała się niedawno książka pt. „Litieraturnyj archiw" (Archiwum literackie). Jest to zbiór materiałów dotyczących życia i twórczości A. Puszkina, A. Hercena, N. Dobrolubowa, D. Pisarewa, J. Gonczarowa, A. Ostrowskiego i I. Turgieniewa.

×

Chińska Republika Ludowa wprowadza do radiofonii stały cykl audycji słowno-muzycznych z muzyki krajów demokracji ludowych. Polskiej muzyce i pieśni poświęcone będzie 10 specjalnych audycji.

×

W Galerie Louise Leiris w Paryżu otwarta została wystawa rzeźb polichromowanych i litografii Fernanda Leger'a.

Wystawa ta jest szczególnie ciekawa ze względu na to, że Leger jeden z najwybitniejszych malarzy współczesnych, zajmuje się rzeźbą i ceramiką dopiero od pewnego czasu, podobnie zresztą jak Picasso.

×

Radzieckie wydawnictwo Goslitzdat zamierza wydać w r. 1952 — 44 miliony egzemplarzy książek. Z tego same dzieła Gogola, którego rocznica mija w 1952, ukażą się w ok. 4 milionach egzemplarzy.

×

Płyty gramofonowe nagrane przez sławnego śpiewaka Szaliapina, nagrywane ony 40 lat temu, gdy technika nagrywania stała dużo niżej, płyty te deformowały głos i były już zniszczone. W związku z tym zostały one odrestaurowane przez pracowników Domu Muzyki, tak, że głos wielkiego śpiewaka zabrzmiał znowu z dawną siłą.

×

W roku bieżącym minęła 240 rocznica urodzin wielkiego rosyjskiego baśniopisarza Michała Łomonosowa.

×

Inżynierowie radzieccy opracowują projekt kolejki napowietrznej, która połączy poprzez Wołgę tereny budowy Stalingradzkiej Elektrowni Wodnej. Długość tej kolejki wyniesie 20 km. Kolejka napowietrzna opierać się będzie na stalowych masztach wysokości 100 m. Zdolność przepustowa kolejki wyniesie 200 wagoników na godzinę.

*

W związku z zakończonym festiwalem amatorskich zespołów artystycznych w ZSRR przyznano obecnie 62 nagrody dla najlepszych zespołów oraz powyżej 200 nagród dla wykonawców.

Zygmunt DĄBROWA

PRZYGOTOWANIA GDAŃSKIE DO OBCHODU MILLENIUM

Odsłonięto 500 lat słowiańskich pradziejów

JAKIE są głosy historyków przed rozpoczęciem gdańskich prac wykopaliskowych ...Ipse vero adiit primo urbem Gyddanyzc... (Canaparius, r. 997).

...Zaś pomiędzy zamkiem a starym miastem leżał osiek, który... posiadał własne zwierzchnictwo, a powstał przed okresem krzyżackim *), gdyż przecież posiadał prawo polskie... (Gotfryd Lengnich, r. 1769)

...Jest rzeczą poza wszelką wątpliwością, że Gdańsk jest nazwą nie niemiecką, lecz polską... (Paweł Simson, r. 1913).

...Osada-miasto nadmorskie powstało z tuziemczej rybackiej ludności prasłowiańskiej...' (Szymon Aszkenazy, r. 1923).

...Pierwsze osiedle pomorskie... było położone nad Wisłą, a ściśle na obszarach Gdańska... (Eryk Keyser, r. 1928).

...Prastara osada ludzka, zapewne rybacka, zamieszkiwali ją Prasłowianie... (Kazimierz Piwarski, r. 1946).

Opierając się na takich zapisach, prof. dr Konrad Jażdżewski rozpoczął w r. 1948 swe badania archeologiczne. Na wstępie przeprowadził topograficzną analizę terenu miasta, szukając wzniesień naturalnych lub nasypanych. Z kolei dokładnie przetrząsnął wytypowane stanowiska. Aż pewnego dnia w pobliżu wojennego schronu hitlerowskiego natrafił na rozrzuconą XIV-towieczną ceramikę. Polecił kopać a dziś może się pochwalić imponującymi wynikami.

SPÓŹNIĆ się do statku żeglugi na Hel może się zdarzyć każdemu z Was. Wałęsając się po zalanej słońcem przystani naprzeciw ko białego domu Ligi Morskiej, natrafiliśmy tuż przy jezdni na wykop wąski i długi, a głęboki na ok. 5 metrów. Na dnie siedziało w kuczki kilka kobiet, grzebiąc w ziemi.

— Uwaga, bo wpadniecie! — Obracamy głowy wdzięczni za ostrzeżenie w porę.

— To nie troska o wasze zdrowie — pada wesoły głos. Sympatyczną jest ogorzała twarz mówiącego. — Boimy się tylko o zachowanie wyników naszego trudu dwóch lat!

SILNYM WAŁEM OBRONNYM OTOCZONY GRÓD

TAK rozpoczęliśmy kilkugodzinne zwiedzanie gdańskich wykopalisk wczesnodziejowych. Spotkało nas mnóstwo ciekawych rzeczy. Posłuchajcie!

Albo nie! Niech nas oprowadzi raczej sam gospodarz odkrywca i niestrudzony badacz półtysiącletnich, przedkrzyżackich dziejów nadwiślańskiego miasta i portu, Głos ma znany archeolog łódzki (zresztą z pochodzenia pomorzanin!), prof. dr Konrad Jażdżewski.

— Wykop przed nami daje doskonały przekrój przez prehistoryczne wały odkrytego przez nas grodu. Nie domyślali się przedwojenni mieszkańcy ul. Rycerskiej, że stapali sobie po szczycie słowiańskich obwarowań. Na przeciwległej ścianie wykopu macie profil jak w katalogu! —

Ponieważ żywo nam w pamięci tkwił jeszcze obraz Biskupina, osady słowiańskiej zresztą znanej i wielokrotnie opisywanej, przeto zapytaliśmy, czy gdański pas obronny odbiegał od biskupińskich rekonstrukcyj.

— Całkiem podobny, — padła odpowiedź profesora, — w kierunku do Raduni widać wzmocnienia przekładankowe na przedpolu, wykonane z bierwion zasypanych ziemią. Natomiast pas główny wykazuje zbite na zrąb izbice, tworzące pewnego rodzaju olbrzymie skrzynie, dla wzmocnienia konstrukcji wypełnione kamieniami, gliną i ziemą ubitą. Jak zresztą u nas wszędzie, na odpowiedniej głębokości woda podskórna razem z garbnikiem kory drzewnej i metanem stworzyły dogodne warunki trwałej konserwacji. Natomiast nieco wyżej już, w suchym gruncie, widać cienkie zaledwie warstwy próchnicy. Są to ślady tej samej, lecz pozbawionej warunków konserwacji, konstrukcji obronnej.

— U podstawy wał nasz mierzył 14 m szerokości, zwężając się ku szczytowi. A szczyt ten dosięgał tej wysokości, — objaśnia dr Jażdżewski, wskazując na mansardy przeciwległego domku parterowego. A więc 10 m ponad poziom osiedla!

Widzimy po obu stronach pasma izbic drzewnych, usypiska kamieni. Nie należą one do budowli słowiańskich, to są fundamenty zamku krzyżackiego z połowy w. XIV, o którym kronikarze zapisali że w dniu powrotu Gdańska do polskiej macierzy (r. 1454) lud miasta zburzył znienawidzoną twierdzę do podstaw. I taki jest wynik naszych prac wykopaliskowych: mimochodem stwierdza się zgodność ze stanem faktycznym pisanych przekazów historycznych. Rzeczywiście, oprócz olbrzymich głazów fundamentalnych nie znaleziono ani jednej całej, nienaruszonej. Piętnastowieczni gdańszczanie widać wykonali swe dzieło z sercem i z dokładnością.

Gdańsk około 1100 roku. Pomiary zrębów chaty zbudowanej „na węgieł", podobnie jak jeszcze niedawno budowane kurne chaty polskiej wsi
Fot. Zb. Kosycarz

FRANCISZKA Kozłowska właśnie ukończyła przepłukiwanie zawartości niewielkiej skrzyneczki. To plon pracy trzech porannych godzin — wygrzebywane łyżeczką zabytki archeologiczne.

— Kości zwierzęce i kilka wielkich ości — uśmiechnięta tłumaczy. Podobnie jak jej koleżanki, przejęta jest swą czynnością. Wiele z nich corocznie zgłasza się do prac wykopaliskowych, choć nie łatwo siedzieć w pochyleniu nad wodą przez cały dzień pracy.

— To wszystko zabierają do Łodzi, a tam profesorowie odnajdą która kość do jakiego zwierza pasuje — mówi robotnica.

Doskonale rozumiemy. Paleozoolog, w tym wypadku, jak podpowiada profesor, dr Krysiak z Warszawy, podczas długich miesięcy zimowych ustali ze znalezisk nazwy mieszkańców wczesnodziejowych stajni, obór i chlewów, opowie o zasięgu dawnogdańskich rybaków. Dokładnie opisze nam zwierzynę, na którą w gąszczu pomorskich lasów polował gdańszczanin za czasów Chrobrego.

Zabolało zwiedzających, że całe to naukowe opracowanie nastąpi gdzieś tam w dalekiej Łodzi. Że Gdańsk swym laureatom naukowym nie potrafi jeszcze zapewnić warsztatu na miejscu. Właśnie tutaj, w otoczeniu obszarów, które podlegają ich mozolnej pracy badawczej. W odzyskanym, w odbudowującym się Gdańsku polskim.

PRZEWIEWNY BARAK KOŁO POLSKIEJ POCZTY

Tuż obok, nad fragmentem starej fosy, utulony w zieleni, stoi niewielki barak. Jest otoczony płotem z drutu kolczastego. To dla zapewnienia bezpieczeństwa dla bezcennych zbiorów, które w sobie mieści. Była bowiem próba włamania.

Przez uchylone drzwi zaglądamy do pierwszej izby:

— Patrzcie moi drodzy, ekipa gdańska posiada nawet prawdziwe biuro z maszyną do pisania i tak dalej. Jak tam leci praca w tym upale? —

Wzrok podnosi Maria Misińska, sekretarka „Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego" i śmiejąc się odpowiada:

— Odkąd profesor krążący między Łęczyca, Łodzią, Warszawą a nami wpadł do Gdańska na bieżący występ gościnny, to mam doskonałą pomoc w robocie papierkowej. — Stwierdzając to, rozkłada na stole 240 kartek dwu i pół miesięcznego budżetu ekipy. Szkoda, że pracownicy naukowi muszą się w takim stopniu obarczać robotami administracyjnymi. Są jednak urzędy, które dziś jeszcze nie odkryły właściwej proporcji między pracą naukową, produkcyjną, a rejestracją gospodarczych zaszłości!

Niestrudzony przewodnik przedstawia nas swej młodej koleżance, asystentowi Uniwersytetu Łódzkiego. Eleonora Byrska mówi ze swadą: — Jest nas młodych prawie z dwudzieścioro. Przybyliśmy z różnych ośrodków, jest Łódź oczywiście, dalej Warszawa, Poznań, Lublin i Kraków. Jako słuchacze prehistorii lub historii odbywamy nasze praktyki tutaj na prawach i wynagrodzeniu robotnika.

— Pracują dzielnie — pochwala profesor. — Nie boją się najbrudniejszej roboty. Muszą przejść w wykopie wszystkie etapy pracy fizycznej, pomocniczej, technicznej i naukowej. Wieczorami studenci odbywają ze mną lub moją zastępczynią seminaria. Traktuje się tam zagadnienia współczesne naszym zajęciom badawczym w ujęciu społecznym i ekonomicznym.

WYNIKI gdańskie nie pochodzą z pracy jedynie studentów. Około 25 robotników, przeważnie kobiety i młodzież, schodzą codziennie do mokrych dołów. Przez osiem godzin przebierają grunt małymi łopatkami. Przypominają dzieci bawiące się w piasku nadmorskim. Między palcami przesiewają każdą grudkę, aż natrafią na najdrobniejszy choćby zabytek.

W tej pracy zależy właśnie na powolnej staranności i dokładności. Zwykły śmiertelnik nie zdaje sobie sprawy, ile wyczucia musi posiadać robotnica w swym dotyku, by operując narzędziem nie uszkodzić czasem jakiejś zbutwiałej tkaniny, by nie rozrzucić spoczywających w mule paciorków bursztynowego naszyjnika.

W pierwszych dwóch sezonach wykopaliskowych licznie napływały deklaracje pomocy społecznej od szkół, harcerzy, junaków SP. Dziś te ochotnicze siły są zatrudnione w zajęciach bezpośrednio produkcyjnych; a szkoda, bo profesor Jażdżewski wdzięcznie wspomina tych bezimiennych, młodych „archeologów".

Rozglądamy się dalej po baraku. Jest to pomieszczenie co prawda o wiele lepsze od zwykłych namiotów z r. 1948. Ekipa ma światło, szkoła rzemieślnicza postawiła piec (zresztą jedyny w baraku, lecz doskonały, według stwierdzenia Jadwigi Zachciałowej, obozowej kucharki), widać dosyć mebli, są książki i publikacje naukowe na półkach. Mimo to całość, jako nadzwyczaj obfitująca w różnokierunkowe przeciągi, nie nadaje się ani na kwatery, ani też na pomieszczenia użytkowe, lub zgoła pracownie naukowe.

— Jednak nie po to Was wprowadziłem do siebie, by tylko biadolić — odzywa się niestrudzony kierownik ekipy. — Przejdźmy na główny wykop, a tam przekonacie się, że jeśli wyrażamy pewne żale, to nie w imieniu własnej wygody, li tylko w trosce o właściwe zabezpieczenie ogólnonarodowego dobra naukowego. — I dodaje sumując: — Pamiętajcie, że w perspektywie ogólnokrajowej teren gdański, mimo szczupłych wymiarów, przedstawia szeroki wachlarz różnorodnych znalezisk i dziś już o wiele bogatszy, aniżeli plon takich stanowisk wczesnodziejowych jak Łęczyca, Szczecin, Wawel, Ostrów Tumski, lub zgoła powszechnie znany Biskupin!

NICZYM KAPITAN OKRĘTU — KOBIETA DYRYGUJE ZAŁOGĄ WYKOPU

MINĘLIŚMY wysoki parkan i stoimy przed pięciometrowym dołem, patrząc z wysokiej krawędzi pohitlerowskiego schronu.

— Betonując swe nory, okupanci musieli odsłonić fragmenty słowiańskiego osiedla. Zresztą świadczą o tym resztki znalezionej przez nas w śmieciach poniemieckich ceramiki pomorskiej — stwierdza ruchliwy i energiczny zastępca profesora, dr Janina Kamińska z muzeum archeologicznego w Łodzi. — Faszyści celowo przemilczali istnienie drewnianych grodzisk i ledwo coś tam przebąkiwali o krzyżackich wodociągach z pni.

— Ładne mi to wodociągi! W czwartym roku naszych prac widzicie ósmą warstwę pomorsko-słowiańskiej osady. Pierwsze części domostw odkryliśmy na głębokości ok. 170 cm pod podwórzem, a dziś dokopaliśmy się już głębi 3½ m. Lecz nie wiemy nadal, czy i kiedy na tym koniec. Co widzimy na dnie, to dwie ulice z przyległymi 10 domami. Wiek XII, a więc zabytki trzeciego podokresu wczesnodziejowego.

Tuż pod naszym stanowiskiem obserwacyjnym widzimy dom narożny, posiadający niewielki ganek. Czyżby dotarliśmy do genezy gdańskich „przedproży", których resztki zachwycają dziś nawet każdego przybysza w ulicach Mariackiej, Piwnej czy Ław Chlebowych?

Obok pracujący chłopiec zdziera z legarów prehistorycznej ulicy zbutwiałe deski. Na zapytanie profesora młody pracownik odpowiada rzeczowo, że już pobrał po jednej próbce z każdej sztuki dla paleobotanicznych badań laboratoryjnych. Za kosztowne byłoby konserwowanie setek drewien użytych przy budowie ulicy. Zresztą i tak już zarysował się pełny obraz wczesnogdańskiego „przemysłu" drzewnego.

Surowiec tej części osady to najczęściej drzewo liche. Wierzba, olcha, nieco grabu i buku z pobliskich moczarów. (Dodać trzeba, że dziś na tych moczarach wznoszą się nasze stocznie, rośnie z roku na rok nasza piękna flota morska!). Obróbka następowała po prostu na samej ulicy bądź też na miejscu budowy. Świadczą o tym skupiska wiórów. Z narzędzi używano topory oraz kliny do darcia desek, tzw. dranic.

W ciągu ciekawej i obfitującej w objaśnienia fachowych terminów rozmowy z uczonymi dowiadujemy się mnóstwo szczegółów o terenie gdańskim.

PROFESOR Jażdżewski przyjmuje istnienie dwóch grodów gdańskich: jednego wyżynnego (podobnego do sopockiego), strzegącego przy doskonałym położeniu taktycznym z góry Grodzisko przejazdu gościńcem kaszubskim oraz drugiego, typu raczej produkcyjno-usługowego, tego właśnie, nad którym toczy się nasza dyskusja. Trzeba wiedzieć, że domniemany teren tego grodziska rozciąga się w czworoboku od Motławy do Poczty Polskiej, od ujścia Raduni — aż do krańców Targu Drzewnego. Osada obejmowała właściwy gród ze stanicą księcia, podgrodzie oraz port, którego należy się niechybnie doszukiwać w zagięciu rzeki koło obecnej baszty „Łabędź". Przed osiągnięciem dna wykopu, obydwoje są na razie ostrożni z datowaniem powstania grodziska. Zgodnie z dokumentacją kronikarską przyjmują wiek X-ty za pewnik, istnieje jednak prawdopodobieństwo, że pierwsze domy pobudowano nawet w w. IX-tym.*)

— Stan zaludnienia ówczesnego Gdańska? Obliczyć nie trudno. Na podstawie zagęszczenia domostw przyjmuję na wiek XII ok. pięć tysięcy ludności. W samych swych początkach Gyddanyzc św. Wojciecha liczył chyba nie więcej, niż tysiąc dusz — twierdzi prof. Jażdżewski.

Podana cyfra jest znaczna i obala całkowicie tezy hitlerowskiej nauki o nieistnieniu miasta w okresie przedkrzyżackim, o nieumiejętności zakładania miast przez rodzimą ludność słowiańską. Wiele światła z innej strony wniesie tutaj niewątpliwie drukująca się praca inż. St. Bobińskiego, poddająca analizie historyczno-urbanistycznej obecny rozkład miasta oraz rysowane w ubiegłych wiekach plany Gdańska.

W każdym razie dziś już można powiedzieć, że wszystkie wyniki te zgodnie poprą definicję użytą przez kronikarza w. X, który podając los wyprawy apostoła Prus i Pomorza, użył dla ówczesnego Gdańska określenia „urbs". Roma urbs, urbs Gyddanyzc...

GDAŃSKI ROBOTNIK — WIERNYM TOWARZYSZEM NAUKOWCA

PANIE profesorze — woła donośnie asystent Jerzy Kmieciński — znaleźliśmy skórzaną sakiewkę do pieniędzy. Już podaję.

W miejscu odkrycia obiektu robotnik szybko wtyka druciany szpikulec. W jego oczku została zaczepiona naprędce spisana metryczka. Pamiętajmy: dotychczas znaleziono kilkadziesiąt tysięcy zabytków! Robotnik podaje przedmiot czuwającemu w wykopie asystentowi. Spiesząc się do nas niechcący strącił rysownika Leszka Rogozę. Siedząc na progu chaty kurnej szkicuje on układ belek tworzących zrąb domostwa.

Oczy profesora przez chwilę wyrażają zawód. Liczył na niespodziankę, na zachowanie kilku ówczesnych monet. Byłby to wskaźnik nie lada, rysujący szeroko powiązania handlowe oraz stosunki monetarne ówczesnego społeczeństwa miejscowego. Ich brak w tej najuboższej zresztą dzielnicy, to z drugiej strony potwierdzenie dla posiadanych o stanie społeczno-ekonomicznym wiadomości. Istniała bowiem gospodarka naturalna przy bezpieniężnej wymianie dóbr. Co nie wyklucza, iż kiedyś, gdy prace wykopaliskowe dotrą do dzielnic zamożnych klas starogdańskich, znajdzie się wbród monet własnych i obcego pochodzenia.

Sama sakiewka (dziś już spoczywa w gablotce polowej wystawy) wykonana niezwykle starannie, tak samo jak zresztą spojone doskonałym klejem rybim i przyszywane równiutko, jak maszyną, skórzane obuwie. Na wysokim poziomie stoi również odnaleziona obrączka z brązu o delikatnym wzorze z krzyżem wykonanym ściegiem wibrującym. Nie gorzej przedstawia się obfitująca w okazy ceramika. I kości do gry, czy to polerowane z kości zwierzęcej, czy też z bursztynu. A pływaki sieciowe, zaopatrzone w gmerki, pewnie poszczególnych indywidualnych rybaków. Kleszczka do wiązania sieci przedstawia się prawie tak samo, jak używane dziś narzędzia przez sieciarki „Dalmoru" czy „Arki".

(Dokończenie na str. 10)

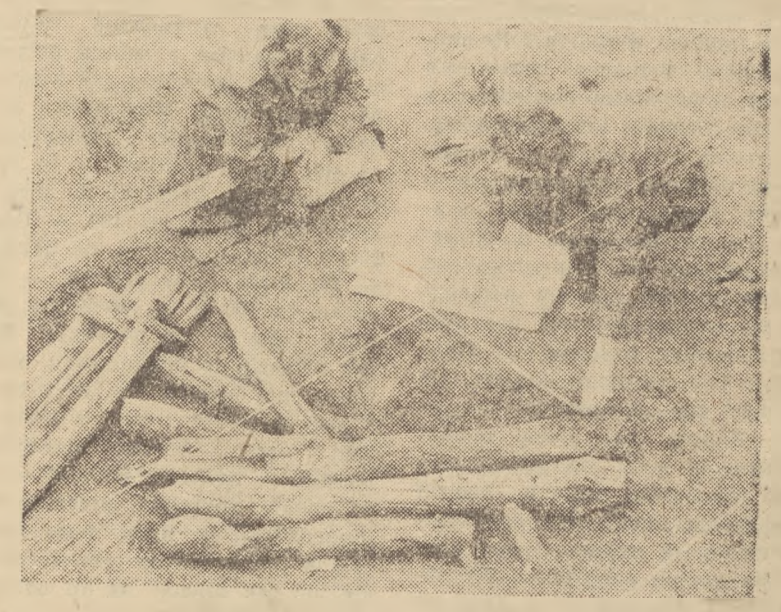

Studentki prehistorii dokonują inwentaryzacji paleniska chaty mieszkalnej
Fot. Agencja Robotnicza

*) Zabór krzyżacki w r. 1308 (rzeź ludności).

*) pogląd prof. Konrada Jażdżewskiego został potwierdzony wynikami sześciu wierceń archeologicznych, przedsięwziętych na terenie „Starego Miasta" już po zakończeniu tegorocznego sezonu wykopaliskowego.

Za 3 lub 4 lata nasi prehistorycy odkopią więc realne ślady życia i pracy właśnie z połowy w. IX-go, z czasów legendarnych przodków Mieszka I.

Jerzy Andrzej GÓRSKI

DICKENS DLA DOROSŁYCH

MÓWI się, że dzieła wielkich autorów nie starzeją się. Zapewne, ale dzieje się z nimi to samo, co z większością sędziwych starców — dziecinnieją: wędrują na półki ze szkolną lekturą, dobiegają swego przeznaczenia pod usmarowanym atramentem paluszkiem, niecierpliwie przesuwającym się od litery do litery. Dickens, którego każda nowa

Karol Dickens na swym wieczorze autorskim, który odbył się na trzy miesiące przed śmiercią pisarza.

książka była wydarzeniem wiktoriańskiej Anglii, który wzruszał i oburzał wszystkich, od robotnika po wyłupiastooką królowę, Dickens, który wywoływał burze w prasie i zgorszone interpelacje w parlamencie — zdziecinniał również, dzieląc los wszystkich prawie klasyków. W tym tylko okazał się od większości ich szczęśliwszy, że najnudniejszy belferski rozbiór nie zdołał w młodych oczach wydrzeć uroku z jego utworów, nie zdołał odebrać im swoistego, wzruszającego piękna i narzucającej się siły przeżycia.

Co sprawiło jednak, że książki Dickensa uznano za lekturę wyłącznie dla dzieci i młodzieży, że od kilkudziesięciu lat ustalił się w historiach literatury i w t. zw. powszechnej opinii wizerunek przedstawiający autora jako dobrego, poczciwego pisarza, specjalistę od „uśmiechu przez łzy", jak zapewniają o tym nie bez słuszności wszystkie jego biografie, gawędziarza, twórcę pogodnych, w miarę naiwnych opowieści, nad którymi świetnie się wypoczywa? Czy w ciągu ostatnich stu lat, tak bogatych w wydarzenia i przemiany we wszystkich dziedzinach życia, lat wielkiego rozwoju literatury, dzieła Dickensa zatraciły rzeczywiście wszelką aktualność, okazały się związane wyłącznie z epoką, w której powstały i razem z resztą jej produktów skazane są na zapomnienie? Gdyby tak było w istocie, niezrozumiałe byłyby wielkie nakłady tego autora w ZSRR, a przede wszystkim trudny do wytłumaczenia stałby się niewątpliwy fakt stale wzrastającej poczytności dickensowskich powieści i to bynajmniej nie w jego ojczyźnie, gdzie wielbi go się jako zakurzonego klasyka, a czyta w dziecinnych pokojach, ale właśnie w krajach, które pod każdym względem a więc i kulturalnym, przeszły rewolucyjny przełom.

Charles Dickens był pisarzem na wskroś mieszczańskim tak swoim pochodzeniem jak i światopoglądem i charakterem swej twórczości, odznaczał się jednak cechami, które nie zapewniały mu łaski u mieszczańskich krytyków: przenikliwością spojrzenia, szacunkiem i miłością człowieka, uczciwością i pisarską odwagą. Dickens dostrzegał całe zło swoich czasów, zło ustroju w którym mu przyszło żyć i tworzyć i w swoich książkach potrafił je ukazywać i piętnować, chociaż nie umiał wskazać właściwego winowajcy, chociaż poddawał fałszywe i naiwne rozwiązania problemów społecznych. I właśnie za to zrobiono z niego poczciwego dziadunia, jakiegoś niemal, toute proportion gardée, ankielskiego Jachowicza, chylono czoło przed formą, bagatelizując treść, byle tylko pozbawić jego książki wartości historycznego dokumentu. Nie pierwszy i nie ostatni padł Dickens ofiarą perfidnej metody, można by jednym tchem wymienić dziesiątki nazwisk pisarzy, których za słowa prawdy w pewnym okresie bourgeois skazał na zapoznanie lub pokój dziecinny, narzucił dla swoich celów opinię powtarzaną bezmyślnie całymi pokoleniami, spełniającą ze zdumiewającym powodzeniem rolę końskich okularów dla czytelnika.

WRÓĆMY jednak do Dickensa i „Wielkich nadziei", by na konkretnym przykładzie zanalizować dokładniej jego twórczość, przypomnieć kim był dla swoich czasów i wskazać jakie wartości przedstawia dziś dla nas, odkryć przyczyny dla których bliski jest współczesnemu czytelnikowi, te same, które sprawiają, że mieszczańska zemsta ściga go jeszcze tyle lat po śmierci.

Filip Pirrys, bohater „Wielkich nadziei", w skrócie zwany Pipem, przebywa pod piórem Dickensa spory szmat swego życia, poprzez trudne dzieciństwo, zagmatwaną młodość, aż po obracający kupieckim tłuszczykiem wiek dojrzały. Taki schemat przedstawiania losu bohaterów dominuje w powieściach Dickensa: David Cooperfield, Oliver Twist, Nicolas Nickleby i inni przechodzą, rosną w szczegółach bardzo podobną drogą, by z nędzy, cierpienia i walących się na nich przeciwności wyjść naprzeciw happy end'u. Dzieciństwo Pipa jest względnie jeszcze słoneczne: nie maltretują go w osławionych domach pracy, nieznany mu jest fabryczny wyzysk. Sierota, nie cierpiący zresztą specjalnie z tego powodu i zupełnie bez kompleksu sieroctwa, popychle zgryźliwej i szorstkiej w obejściu siostry, z perspektywą zakończenia edukacji na znajomości czytania i liczenia a po długim okresie terminatorstwa zostanie w dalekiej przyszłości — zawodowym kowalem. Oto Pip, przed którym nieznany dobroczyńca roztoczy nagle wizję wielkich nadziei. Pip staje się „panem" gentlemanem a na jego przykładzie, mimo całej sympatii jaką autor darzy swego bohatera, ukazuje się nicość i obłuda tej nomenklatury i społecznego systemu, który ją stworzył. Dzięki pieniądzom Pip przeskakuje za jednym zamachem kilkanaście stopni w hierarchii społecznej zyskując bardzo mętne i na zewnętrzny efekt obliczone wykształcenie, wygodne mieszkanie, wytworne ubrania, ukłony ludzi, którzy jeszcze wczoraj nim pomiatali i... z beztroską i wewnętrznym zadowoleniem utwierdza się na pozycji pasożyta, bezwartościowego członka społeczeństwa.

Dickens odmalowując wstrząs psychiczny, jakim staje się dla Pipa przyjazd Magwitch'a wraz z nieprzeczuwanymi a niepożądanymi rewelacjami, bezwiednie zdaje się ukazał stopień demoralizacji swego bohatera, całą zgniliznę mieszczańskiej mentalności, zbudowaną na kulcie pieniądza. Pip korzysta z pozostawionych do jego dyspozycji sum bez żadnych skrupułów, zjawiają się one dopiero w chwili gdy dowiaduje się, że kapitały te stanowią własność przestępcy. Fakt, że Magwith zdobył je uczciwą pracą jest mu obojętny, podobnie jak długi czas jest mu obojętna wewnętrzna przemiana dawnego galernika. Spojrzenie Pipa jest tym samym bezdusznym spojrzeniem nieludzkiego prawa, które wyśle Magwitcha na szubienicę. Wystarczyło kilka lat dobrobytu i obracania się w kręgu złotej młodzieży, matadorów City całego świata mieszczaństwa, by mentalność Pipa nabrała specyficznych cech jego nowego środowiska. Gdyby to były pieniądze Miss Havisham, nie istniałyby żadne opory natury moralnej by z nich korzystać, Pip nawet nie zastanawiałby się z jakiego źródła są czerpane — życie na cudzy koszt, przyjęcie darowizny, wszystko to nigdy nie stanowiło dla Pipa problemu. Ale pieniądze pochodzące od złoczyńcy — tych się brać nie godzi.

I rzecz jeszcze bardziej charakterystyczna — bohater „Wielkich Nadziei" tak głęboko wrósł w swą pozlacaną rolę, tak bardzo odszedł od swej przeszłości, gardzi nią, wstydzi się jej. Przeraża go powrót do dawnego otoczenia i pracy w kuźni, czy w ogóle pracy — myśli tylko jak za wszelką cenę utrzymać swą dotychczasową pozycję. Dla tej myśli przezwycięża wstręt do Magwitcha, ta myśl kiedy będzie się starał go ratować przeplecie się tak ściśle z litością do nieszczęśliwca, że wreszcie niepodobna odróżnić, która w intencji góruje: miłosierdzie czy materialna samoobrona. I ta sama myśl nie opuści Pipa nawet w tragicznym momencie schwytania Magwitcha i wiele wysiłku i wewnętrznej walki będzie go kosztować decyzja, by nie występować o uratowanie choćby części spadku po skazańcu.

POSTAĆ Pipa stanowi żywą ilustrację jedynej w warunkach kapitalistycznych, i to nie tylko w czasach Dickensa, drogi awansu i wszystkich związanych z tym konsekwencji. Niewątpliwie nie leżało w zamierzeniach Dickensa odsłanianie kapitalistycznego mechanizmu, nieznane mu było w ogóle pojęcie zdrady klasowej, tworzył postać Pipa pod kątem jednostkowej ludzkiej historii, nie myśląc o wyrażaniu poprzez nią jakichkolwiek nowych zjawisk społecznych — a przecież obraz jaki rysuje się przed współczesnym czytelnikiem wypadł niezwykle wyraźnie. Autentyzm opisywanych sjawisk komentuje się sam, obala każdy błędny komentarz samego autora czy krytyków. Tło, na które rzucone zostały dzieje Pipa podmalowane zostało jak zwykle u Dickensa przy pomocy całego tłumu plastycznie zróżnicowanych typów ludzkich. I kiedy, przeczytawszy książkę, raz jeszcze przyjrzymy się dość niesławnej epopei Pipa, uderzy nas przenikliwość z jaką Dickens uchwycił na kartach swej powieści obraz społeczeństwa angielskiego pierwszej połowy XIX wicku.

Kapitalizm, tak młody jeszcze, dopiero się rozwijający, już występuje w całej potworności wszystkich swych cech, które pogłębiać się będą w miarę upływu czasu. Anglia Dickensa to jeszcze stara wyspiarska Anglia, mit imperialny dopiero się lęgnie, jego piewcy z Kiplingiem na czele jeszcze się nie urodzili. Ale przemoc człowieka nad człowiekiem, wyzysk i niesprawiedliwość panoszą się bezkarnie za pełnym poparciem prawa. Dzień roboczy trwa do osiemnastu godzin, po kopalniach i fabrykach pracują dzieci ledwo odrosłe od ziemi, wbrew ustawie, która cynicznie określa jako najniższy wiek przy zatrudnieniu — 9 lat. W roku 1834 zreformowano Prawo Ubogich w duchu wydatnego zmniejszenia zapomóg publicznych, gdyż jak twierdzili projektodawcy tych poprawek, zbyt szczodrze przyznawane zapomogi zniechęcały pracowitych. Najlepszym środkiem likwidacji ubóstwa — twierdzili mieszczańscy liberałowie— jest po prostu nie pomagać ubogim, to zmusi ich do pracy lub przyśpieszy śmierć.

Aktor angielski Emlyn Williams grający rolę Dickensa w „Opowieści wigilijnej".

W „Wielkich Nadziejach" nie widzimy wprawdzie fabryk ani kopalni, niemniej zło, tkwiące w ustroju przemawia do baczniejszego czytelnika z każdej niemal stronicy. Więzienia, straszliwe więzienia dziewietnastowiecznej Anglii, w których deptano wszelką ludzką godność, pokazane są we wszystkich chyba utworach Dickensa, ze szczególnym uwzględnieniem więzień za długi. Bolesne wspomnienie młodości — ojciec Dickensa przesiedział długie lata i umarł za kratami, nie mogąc wywiązać się ze swych wierzytelności — nakazywały pisarzowi piętnować ten przejaw niesprawiedliwości przy każdej okazji. Dickens dostrzegał nieludzkość i okrucieństwo prawa, wszystkie oszustwa i akty przemocy dokonywane pod płaszczykiem praworządności. Znał dobrze „od podszewki" sądy swego kraju i moralność palestry. Przypomnijmy sobie tylko migawkową scenę ze świadkami w kancelarii Jaggersa. Przy pomocy kilku zaledwie zdań rozsianych wśród tekstu przedstawia „moralne oblicze" skorumpowanej policji. Jaki wymowny jest ów krótki incydent na łódce, gdy oficer policji zgadza się na włożenie Magwitchowi suchego ubrania wzamian za zawartość kieszeni. A urzędnicy? Mamy ich w „Wielkich Nadziejach" niewielu, właściwie jednego tylko, ale ten jeden jest tak typowy, że starczy za tysiące. Wennmick dla Dickensa jest jedynie człowiekiem, który wspaniale odgranicza życie osobiste od spraw urzędowych, tak wspaniale, że nawet jego charakter ulega zmianie w zależności od miejsca, w którym się znajduje. Wiemy dobrze co oznacza takie rozdwojenie jaźni i jakich stosunków jest wynikiem. Dobry, ujmujący i uczynny człowiek, w biurze przeradzający się w bezduszną maszynę z paragrafem zastępującym serce i mózg — oto typowy produkt kapitalizmu, zjawisko dziś jeszcze nader powszednie w zachodnich strojach. Dickens na pewno nie sformułował tej tezy, że kapitalizm jest niemoralny w swej istocie, a jednak stwierdzał ją na każdym kroku. Chłopiec od Trabba, niewymieniona nawet z imienia humorystyczna postać, czyż nie jest jaskrawym dowodem jak zaraźliwy jest, jak demoralizujący stosunek do człowieka oparty na szacunku jego kieszeni. I Pip, który śmiać się będzie z nagłej czołobitności chłopca gdy tylko zwęszył pełną sakiewkę, wkrótce potem przyswoi sobie podobny sposób myślenia, zacznie dzielić ludzi na gentlemenów z gotówką i hołotę żyjącą z pracy rąk — spostponuje Joe'go. A dalej galeria przeróżnych straszliwych mieszczuchów z okazowych sklepikarzem Pumblechook, chamowatych snobów jak Drummle, prekursor współczesnych angielskich studentów spod znaku Mosley'a.

PISAŁO się wiele i nie bez słuszności o czarno-białej technice utworów Dickensa, ale, jak w każdej regule i tu są wyjątki. A specjalnie dużo jest ich właśnie w „Wielkich Nadziejach". Sylwetka Magwitcha tak jak została nakreślona nie podpada ani pod czarną linią ciągnięty szablon „złego człowieka" i wbrew pozorom nie wiele ma wspólnego z wzorem szlachetnego w gruncie rzeczy, nawróconego zbrodniarza. Magwitch nie wszedł na drogę występku pchnięty, jak to lubili przedstawiać współcześni Dickensowi pisarze, krwiożerczymi instynktami tkwiącymi immanentnie w jego naturze. Magwitch jest ofiarą — Dickens nie pozostawia co do tego wątpliwości— ofiarą nędzy, ciemnoty i szkodliwego wpływu zdegenerowanego młodzieńca z „dobrego domu". Compeyson sprytnie operuje szantażem, zmusza innych by wyciągali kasztany z ognia, zawsze uchodzi względnie bezkarnie dzięki przywilejom swej sfery lub wybiegom spodlałej duszy konfidenta. Ileż wymowy ma ta scena opowiadania Magwitcha, pisana przecież przez tego samego poczciwego mieszczańskiego Dickensa, co widział świat w dwóch tylko zwalczających się barwach:

„Kiedyśmy zasiedli na ławie oskarżonych spostrzegłem jak wykwintnie wyglądał Compeyson z kręconymi włosami, a w czarnym ubraniu z białą chusteczką w kieszonce marynarki i jak przy nim, ja robiłem wrażenie nędzarza. Kiedy tylko rozpoczął się proces zrozumiałem, jak ciężkie oskarżenie przygniata mnie, a jak lekkie spoczywa na nim. Po zeznaniach świadków pojąłem dopiero, że

(Dokończenie na str. 10)

ODSŁONIĘTO 500 LAT SŁOWIAŃSKICH PRADZIEJÓW

GDAŃSK dostarczył najbogatszych zbiorów tkanin wczesnodziejowych. Na razie odkopano przeszło 150 różnych fragmentów od szmatki z worka, aż do skrawku świątecznego okrycia, nie licząc znalezionych narzędzi produkcji, jak wrzeciona, prześliki, czółenka itp. Na podstawie takich znalezisk już dziś można opracować naukowe studium o tkaninach słowiańskich, a fachowiec tekstylny, p. Pilarski z Łodzi, orzekł zaskoczony tym wielorakim bogactwem okazów, że co do jakości wyrobów produkt nie ustępuje naszym 100 proc. wełnom ubraniowym!

Trudno w szczegółach wyliczyć, ile i jaki sprzęt oraz wyrób wszelkich rzemiosł został przez robotników ocalały. Zresztą wyniki lat ubiegłych doczekały się już publikacji, a w tym roku dopiero rozpoczęto wykopaliska. W każdym razie trud personelu naukowego, poniesiony wespół z robotnikiem, wynikami opłacił się sowicie. Ziemia szczodrze odkryła swe tajemnice. Ożyły dzieje dawnego Gdańska.

Spoza grona ekipy nie brak przychylnych „kibiców". Przyszedł razu pewnego do profesora dawny mieszkaniec Gdańska, taki, jakich tam autochtonami zwą.

Paweł Kośnicki opowiedział, jak to w latach dwudziestych przy pracach kanalizacyjnych odkopano przy ul. Sukienniczej, a więc w pobliżu naszego wykopu, na głębokości ok. 4½ m pięć trumien, zbitych z 6 dranic dębowych. Niemcy oczywiście postanowili określić znalezisko mianem grobów krzyżackich (mimo, że wiadomo, iż rycerzy tych chowano u św. Mikołaja) i w swych publikacjach przemilczeli fakt ten zupełnie.

Ekipa nasza przyjmuje natomiast istnienie w tym miejscu słowiańskiego cmentarza, a kto wie, może i pierwotnej kaplicy czy świątyni grodziska. Dlatego konsekwentnie w roku bieżącym zostanie przeprowadzony wykop próbny na rogu ul. Czopowej i ul. Sukienniczej. Znalezienie zwłok osobnika w pełnym stroju wczesnodziejowym byłoby dla naszej nauki skarbem wprost bezcennym. Przy korzystnych warunkach konserwacji jest to rzecz w Gdańsku całkiem możliwa.

(*Dokończenie ze str. 8*)

DOBRA KUCHNIA DECYDUJE O ŁADNEJ WYSTAWIE

W SKLEPIE przy ul. Grodzkiej nr 15 konserwator Józef Karbowiak z m. Łodzi rozlokował swą „kuchnię zabytków". Gaz i woda bieżąca, stoły, regały i moc na razie pustych słoików są na jego usługach. Razem z p.p. Piórkiem, Poprawką i Jarosikiem utrwala wszelkie powierzone mu zabytki, czy to w formalinie, czy glicerynie, czy też gotując drewno w kąpieli ałunowej, by potem je nasączyć olejem lnianym.

Uprzednio zinwentaryzowany i odrysowany przez kol. Lepównę, Wiklaka czy innych studentów zabytek, po przebyciu zabiegu konserwatorskiego staje się dopiero zdatnym do długookresowego przechowania. W takim celu zresztą przez czas zimy cały wykop był zalany 150 m sześc. wody, którą szybko i bezinteresownie odpompowała na prośbę naukowców gdańska straż pożarna.

Zależnie od decyzji kierownictwa ekipy, zakonserwowane okazy wędrują albo natychmiast do przygotowanych skrzyń muzeum, albo też znajdują swe tymczasowe miejsce w ekspozycji skromnej, lecz przemawiającej żywo do widza wystawy polowej w lokalu tuż obok. Właśnie wchodząc jesteśmy świadkami, jak młoda romanistka i malarka w jednej osobie, mgr Janina Rukówna, przytwierdza wykaligrafowany napis do pływającego w basenie fragmentu drewnianego łożyska czopowego drzwi domowych. Obok tego kilka gablot z przedmiotami podzielonymi według surowca pochodzenia i techniki wyrobu. Nad tym szereg instruktywnych plansz i map.

— Wystawa nasza rośnie wraz z dorobkiem tegorocznej pracy — zapewnia dr Kamińska. — Miesięczna frekwencja dochodziła 20 tys. zwiedzających. Mnóstwo zachodzi młodzieży i wycieczek robotniczych. Wszak archeologia, to nie „czarna magia". W naszych znaleziskach szukamy i znajdujemy związki z naszą rzeczywistością i z żywym człowiekiem!

PIĘĆSET LAT DZIEJÓW GDAŃSKA PRZEDKRZYŻACKIEGO

SĄSIEDNI dom, to przyznana przez miasto posesja pod n-rem 13-ym. Dom został już zabezpieczony przez konserwatora wojewódzkiego, jako że jest typowym domkiem robotniczym z okresu świetności gospodarczej gdańskiego patrycjatu. Nie brak kredytów na przysposobienie budowli dla celów użytkowych, na stałą pracownię i dom noclegowy ekipy. Niestety, gdańscy inżynierowie i planiści z ZBM jakoś wolą zajmować się bardziej okazałymi obiektami i nasz mały, a jakże potrzebny dla pomyślnego rozwoju prac naukowo-badawczych domek, nadal pozostaje zamknięty na cztery spusty!

Nuta lekkiego żalu tonie w odgłosach wesołej piosenki! Pod kierownictwem młodego przewodnika PTTK Stanisława Rosponda, zbliża się roześmiana grupa warszawskiej młodzieży.

—To tu do wykopalisk? — pytają uprzejmie.

— Tutaj, młodzi przyjaciele — woła radośnie profesor. W pośpiechu gubi laskę, do której został przykuty wypadkiem przy pracy wykopaliskowej. Uczony spieszy niecierpliwie, by dorastającym uczniom objaśnić, jak doniosłemu dla całego społeczeństwa zagadnieniu poświęcili niedługą godzinę swego wakacyjnego wypoczynku.

Okupacja krzyżacka trwała w Gdańsku niespełna 150 lat, a Prusacy rządzili tu drugie tyle czasu. Reszta — to okres Gdańska polskiego. Dlatego nie w tym rzecz, że odkopaliśmy dalsze dowody związków społecznych ze słowiańską macierzą. Triumfem naszej młodej archeologii jest to, że bezstronnie dostarcza nam tutaj niezbite metryki wysokiego poziomu kultury materialnej i artystycznej rodzimej, pomorskiej ludności.

NARASTA zagadnienie właściwej, a przede wszystkim długofalowej opieki dla prac wykopaliskowych ze strony rządu i społeczeństwa. Jak wiadomo, w Gdańsku nie ma uniwersytetu, brak silnego ośrodka historii społecznej i kulturalnej. Na długo może jeszcze nie być muzeum archeologicznego, chociaż gmach zabytkowej zbrojowni został już dalekoidąco zabezpieczony. Zresztą nawet przy istnieniu wszelkich danych i pomocy, trudno po prostu będzie ogrom materiałów wykopanych (może 12 osiedli jedno pod drugim, przec po 800 domostw każde!) zakonserwować i uprzystępnić w muzealnej ekspozycji.

Od urbanistów gdańskich należy oczekiwać, iż w zrozumieniu olbrzymiej wartości naukowej i — politycznej odkryć wczesnodziejowych na terenie miasta, potrafią uratować kilkunastohektarowy obszar przed zabudową. Miasto skąpo wyposażone w zielone płuca zresztą chętnie przyjmie hojny dar w postaci pięknie położonego parku. Będzie więc istniała na przyszłe dziesiątki lat możliwość stopniowego odsłonięcia całego grodziska gdańskiego.

Wybrane elementy budowlane, ulica, grupa domostw, może jakaś chata-pracownia, fragment przystani, oczywiście wycinek wału obronnego — możliwie z jakąś bramą wjazdową, w długofalowym programie powinny znaleźć swe odtworzenie ściśle w autentycznym surowcu przy stosowaniu właściwej technologii wytwórczej. Ujęte razem kompozycyjnie tych kilka budowli wskaże lepiej, aniżeli najbardziej ciekawa opowieść, najstaranniej kręcony film, jak żyli i pracowali nasi przyodkowie w nadwiślańskim grodzie. Chodzi po prostu o stworzenie tzw. skansenu gdańskiego.

WTEDY już nie mroczna legenda, lecz w pokojowej pracy zdobyta wiedza tłumaczyć nam będzie prawdę dziejową, którą okoliczny lud gdański zachował przez ubiegłe sześćset lat w ponurej kołysance kaszubskiej: — A w Raduni krwawa woda. Szkoda ojca, życia szkoda... Odkopane zgliszcza słowiańskiego Gdańska, obok nowowzniesionych kamienic tego miasta, są i na zawsze pozostaną dla nas symbolem polskości naszego Pomorza.

Zygmunt Dąbrowa

Z epigramałów króla Salomona

DESZCZ

Gadatliwa żona jest jak w dachu dziurka —
ciurka to i ciurka...

NA PIJAKA

Komu „ach!" i komu „niestety"?
Komu „biada i gwałtu, rety"?
Komu z oczu kap, kap, kap?
Pijakowi. Gdy do dna wypija,
Z pustego dzbana skacze żmija
I pijaka za język cap!

CZEMU GADASZ...

Czemu gadasz z byle błaznem
wzniośle i uczenie?
Strzelasz z procy rubinami —
wystarczą zwykłe kamienie.

MĄDRY I GŁUPI

Mowa mądrego bliźnich tuczy,
a mądry przez to wcale nie chudszy.
Mowa głupiego żarłoczna, choć pusta,
bo pożerają go własne usta.

SPRAWY PLUGAWE

Co jest plugawe i złe?
Ozór, który łże;
oczy wyniosłe i zmazom rade;
serce, gdy knuje zdradę;
ręce skalane krwią; i nogi,
które na kręte schodzą drogi.
Tych trzeba się strzec.
I jeszcze jedno wiedz:
najokrutniejszą zgrozą świata
to słowo, co brata szczuje na brata.

DOBRA RADA

Gdy zabraknie drzewa w piecu,
wtedy ogień gaśnie.
Wyrzuć za drzwi podżegacza,
a ustaną waśnie.

Przełożył
Artur Marya Swinarski

Dickens dla dorosłych

(*Dokończenie ze str. 9*)

on mnie wysuwał zawsze naprzód: to mnie wręczano fałszywe pieniądze, ja się z nich wyliczałem i jakoby tylko ja z nich miałem korzystać. Ale jeszcze jaśniej zrozumiałem sytuację po mowie obrońcy Compeysona, powiedział on bowiem:

„Panowie sędziowie, macie tu przed sobą dwóch oskarżonych. Młodszy to człowiek starannie wychowany i jako o takim będziemy o nim mówili. Starszy to osobnik bez żadnego wychowania i jego również potraktujemy odpowiednio. Młodszy rzadko kiedy wiedział prawdę o tych transakcjach, zaledwie je podejrzewając. Starszy za to dobrze sobie zdawał sprawę, na czym one polegały i zyski przynosił sobie do domu. Jeżeli w tej sprawie tylko jeden z nich zawinił, to czyż możecie się wahać w wyborze. A jeżeli popełnili przestępstwo obaj, to czyż nie widać jasno, który z nich jest sprawcą tych przewinień". Tak i tym podobnie mówił. A kiedy doszło do omawiania naszych charakterów, to okazało się, że wśród świadków są koledzy Compeysona ze szkoły i, że widywali go i potem w rozmaitych towarzystwach i klubach i że są o nim najlepszego zdania. A byli to ludzie dobrze wychowani... A kiedy przyszło do oświadczenia samego Compeysona, to mówił ślicznie, ocierając oczy białą chusteczką i nawet przemawiał wierszem, a kiedy na mnie przyszła kolej, umiałem tylko powiedzieć: „Panowie, ten człowiek obok mnie, to największy łotr" i nic więcej. A przed werdyktem to dla Compeysona proponowano łagodny wyrok ze względu na jego uczciwą przeszłość, na złe wpływy, którym podlegał i ze względu na wszystkie informacje, których dostarczył sądowi o mojej osobie. A dla mnie mieli tylko jedno słowo: „Winien". A kiedym powiedział do Compeysona: „Jak tylko wyjdziemy z sądu stłukę ci pysk", to Compeyson zwrócił się o obronę przede mną i dano mu dwu strażników, którzy stali pomiędzy nim a mną. A kiedy ogłoszono werdykt, to Compeyson dostał siedem lat a ja czternaście i jeszcze sędzia dodał, że żal mu Compeysona..."

OTO MIESZCZAŃSKA Temida w całej okazałości wraz z takim prawym pojęciem jak człowiek dobrze wychowany, gentleman i jego społecznymi skutkami. Dickens jasno widział kto ponosi winę za moralny upadek Magwitcha i tak samo, choć demonizuje opryszka Orlicka, odbiera mu wszystkie pozytywne cechy — Orlick w swym działaniu jest też ofiarą nędzy, poniewierki i ograniczenia umysłowego — widać to wyraźnie, mimo intencji autora całkowitego zaczernienia tej postaci.

Znalazł się też w „Wielkich Nadziejach" charakterystyczny fragment poświęcony ówczesnej oświacie: wieczorna szkółka ciotecznej babki Mr. Wopsle'a i sam Mr. Wopsle podrzędny aktorzyna w roli egzaminatora, jako jedyne źródło wiedzy dla tych, którym nie dane było urodzić się gentlemanami. I wierzy, że nie dla humorystycznego efektu został stworzony ten obraz, że szkółek takich było setki i to często znacznie gorszych a i z tych korzystał tylko niewielki procent warstw upośledzonych, których przeznaczeniem był analfabetyzm i ciemnota.

Negatywne strony stosunków społecznych we wszystkich niemal dziedzinach oddane są u Dickensa z wielką, jak twierdziliśmy wyrazistością i prawdą. Nic to, że pisarz nie dostrzegał istotnych przyczyn przerażających go zjawisk, że często rozumował zupełnie fałszywie i błędne wysnuwał wnioski, że poza filantropią nie widział innych środków polepszenia warunków bytowania mas. Nie każmy Dickensowi patrzeć na sprawy jego czasu oczyma współczesnego nam człowieka. Niech nam wystarczy jego spojrzenie pełne miłości człowieka i odwaga z jaką piętnował zło. Mylił się w ocenie problemów i wydarzeń, obojętnie przeszedł obok jedynego podówczas rewolucyjnego ruchu robotniczego — „charte'ystów" — był nazbyt mieszczaninem, by nie potępić rewolucji, zbyt wiele miał w sobie z sentymentalnego filantropa. A jednak nawet o przerażającej go rewolucji, w której widział jedynie furię nieokiełznanych instynktów, potrafił pisać obiektywnie i bez zaślepienia, czego świadectwem „Opowieści o dwóch miastach". Nie wszedł na łatwą drogę pisarzy i historyków swej klasy, dla których rewolucja była jedynie buntem motłochu przeciw świętemu prawu własności i hierarchii społecznej na nim opartej, buntem wynikającym z przyrodzonej temu motłochowi skłonności do mordu i grabieży. Dickens rozumiał, że źródłem wydarzeń r. 1789 i późniejszych była nędza, wyzysk i bezprawie rządzących i uprzywilejowanych, a że ta walka, której słuszność uznawał napawała go strachem i niekiedy wstrętem — to już inna zupełnie sprawa.

Tyle uwag o „Wielkich Nadziejach" odczytanych na nowo. Inaczej patrzymy dziś na Dickensa i jego dzieło, którego społeczna treść dawniej niedostrzegana, zbliża autora do nas i sprawi, że wrócimy jeszcze do „Klubu Pickwicka" „Małej Doritt" i tylu jeszcze innych. A jednocześnie zawsze stwierdzimy, że książki Dickensa nie straciły nic ze swego uroku, że tak samo jak dawniej wzruszają i każą przeżywać dzieje swych bohaterów, aż po obowiązkowe happy endy, o które na pewno nie będziemy mieli pretensji. Uśmiechamy się tylko z odczuciem wyższości. Zresztą i poprzez szczęśliwe zakończenie, którym zarządzał gust i wymaganie czytelnika nieraz przebija się gorycz wiedzy o życiu. Tak jest i w „Wielkich Nadziejach", które początkowo zamykały się akcentem zrezygnowanej melancholii — i jakiś jej smak przetrwał i w ostatecznej wersji. Bo też i Estella różna jest od owych wszystkich Agnieszek, Lucji i Katarzyn, chodzących po ziemi aniołów — wychowana na mścicielkę, złamanych serc, kapryśna, przewrotna i prawa — bynajmniej nie idealny materiał na żonę. I kto wie czy taka właśnie naprawdę nie była ta, która stanowiła pierwowzór wszystkich tych postaci, kolejno przedstawiona pod różnymi imionami. Błąka się po tych kartach jakieś mgliste odbicie goryczy Dickensa, który po dwudziestu latach małżeńskiego pożycia oszołomił bogobojną, wiktoriańską Anglię skandalem rozwodowym.

I choć wiemy, że jeśli między Pipem a Estellą naprawdę nie będzie „cienia rozstania", to Pip szybko podzieli los swego twórcy. Nie miejmy za złe Dickensowi tego nieuzasadnionego optymizmu, bo wynika on z gorącej sympatii dla bohatera i troski o jego szczęście, tak samo jak z troski o szczęście dla każdego człowieka. I ta intencja usprawiedliwia potknięcie artystyczne i psychologiczne. Dickens bowiem był nie tylko wielkim artystą, ale przede wszystkim wielkim i bardzo ludzkim człowiekiem, który raz po raz zwyciężał w nim mieszczucha pogrążonego w błogostanie swojej epoki.

Jerzy Andrzej Górski

Do P. T. Odbiorców

Instytut Wydawniczy PAX, Biuro Sprzedaży uprzejmie prosi P. T. Odbiorców o podawanie przy wpłatach na P.K.O. dokładnego tytułu, gdyż nie podanie celu przekazu opóźnia załatwienie zamówienia i stwarza zbędną korespondencję.

Ewa PARCZEWSKA

»Młodzian piękny i posępny«[1]

ŻYCIE Jakuba Jasińskiego, „polskiego jakobina" — to tragiczny splot wspaniałych osiągnięć i awansów osobistych z klęskami ojczyzny, mającym doprowadzić do zupełnej jej katastrofy. Śmierć bohaterskiego generała na szańcach Pragi była prostą konsekwencją przyjętej przezeń postawy wobec otaczającej go, przytłaczającej swoim tragizmem rzeczywistości Człowiek, którego dewizą życiową było: „vitam impendere vero" — poświęcić życie poszukiwaniu prawdy, prawdy tej znaleźć nie mógł. Wszędzie, gdzie skierował swój wzrok — dostrzegał tylko przemoc i nienawiść.

Jasiński — przywódca powstania listopadowego, sławny obrońca Pragi, poeta i żołnierz stał się natchnieniem wielu pisarzy, bohaterem wierszy i dramatów

A jednak — postać Jakuba Jasińskiego, chociaż owiana czarem legendy poetyckiej, pozostała stosunkowo mało znana polskiemu czytelnikowi. Przyczyn pewnej jednostronności dotychczasowych utworów literackich o Jasińskim mówiących, z których żaden nie daje nam pełnej charakterystyki tej bujnej i ciekawej natury, szukać trzeba w samym charakterze tych utworów: poeci woleli w dumie o generale pokazywać go z szablą, a nie z piórem w ręku.

„Jedna jest sztuka na świecie: — Być kilka razy czytanym" — mówi sam Jasiński. Co nam do przeczytania zostawił?

Poetycka jego twórczość obejmuje jeden poemat kilkanaście bajek i przeszło dwadzieścia wierszy, przeważnie lirycznych Spośród nich na szczególną uwagę zasługują wiersze patriotyczne: „Do exulantów", „Do narodu". „Wiersze w czasie obchodzenia żałoby przez dwór polski po Ludwiku XVI". Rewolucyjna treść ostatniego z wymienionych sprawiła, że zaniepokojony nią Stanisław August wyznaczył 1000 złotych nagrody za wykrycie autora! — Wiersz ten, zakończony silnym akcentem antymonarchistycznym („Niech zginą króle, a świat będzie wolny!") — jest manifestacja żywiołowej sympatii poety dla Rewolucji Francuskiej. W wierszach patriotycznych przemawia Jasiński tonem poważnym, patetycznym nawet, co szczególnie odbija na tle innych jego, nieraz frywolnych utworów. — Poemat w sześciu pieśniach pt. „Sprzeczki" zdradza bliskie pokrewieństwo z „Monachomachią" Krasickiego, „Organami" Węgierskiego, „Dziewicą Orlańską" Woltera Poza głównym wątkiem poematu (rywalizacja fary i klasztoru) znajdujemy w „Sprzeczkach" wiele dygresji, odbiegających od zjadliwego tonu całości, dygresji często lirycznych.

Największą popularność, bo sięgającą XX wieku, zdobyły piosenki Jasińskiego („Chciało się Zosi jagódek", „Stare winko, żonka młoda". „Na miękkiej darni Filis leżała"). Piosenki te, pełne wdzięku i sielankowej pogody, często przypisywano Karpińskiemu

Jasiński utworów swoich za życia nie ogłaszał, kilka zaledwie do druku bezimiennie podając. Stąd też prawdopodobnie pochodzi brak ostatecznego wykończenia artystycznego wielu jego utworów. „Kiedy się pierwszy raz przegląda pisma Jasińskiego — cytuję za prof. Borowym[2]) — ma się wrażenie zupełnego chaosu i nie chce się wierzyć, że wszystkie one wyszły spod pióra jednego i to tak młodego autora".

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI pisząc opowieść biograficzną o Jakubie Jasińskim, podjął ambitne zadanie przybliżenia nowemu czytelnikowi postaci „jednego z najżarliwszych czerwieńców u schyłku XVIII wieku".

Dobrowolski adresuje swoją książkę do dzisiejszego czytelnika w demokratycznej Polsce, a zwłaszcza do młodzieży. Czy i w jakim stopniu udało się Dobrowolskiemu jego zamierzenie — postaramy się odpowiedzieć, rozważając niedociągnięcia i zalety książki

Autor w przedmowie zastrzega się, że nie pretenduje do trudnej roli naukowego biografa Jasińskiego". Ponieważ jednak omawiana pozycja posiada wybitnie historyczny charakter, mamy prawo oczekiwać od niej nieodzownej ścisłości faktów i minimalnej choćby dokumentacji naukowej w postaci odnośników, wskazujących źródła. Szkoda, że w książce Dobrowolskiego nie znajdujemy ich zupełnie. Beletrystyczne ujęcie tematu mogłoby oczywiście rozgrzeszyć całkowicie to niedociągnięcie; kryje się w nim jednak pewne niebezpieczeństwo, które prowadzi czasem do zabawnych nieporozumień. Tak więc p. Józef Valerg, omawiając książkę Dobrowolskiego („Nowa Kultura" Nr 34 z dnia [illegible] b.r.) stwierdza, iż na stronie 180 autor popełnia „rozwesełającą gaffę", podając przy cytowanym fragmencie publicystyki politycznej nazwisko *Jacka* zamiast Franciszka Salezego Jezierskiego (podkreślenie moje — E.P.). Jasnym jest, że pomyłka taka *nie* zaszła. Dobrowolskiemu chodziło o *Jacka* Jezierskiego — autora mów i dzieł politycznych (1722 — 1802), nie zaś, jakby tego chciał recenzent „Nowej Kultury" — o „znanego łajdaka i właściciela domów publicznych w Warszawie". Krótki odnośnik oszczędziłby, sądzę, Dobrowolskiemu tej uszczypliwej uwagi.

Ze sprawą rzetelności naukowej pisarskiej łączy się w książce Dobrowolskiego również kwestia „zapożyczeń". Przede wszystkim chodzi tu o bardzo widoczny wpływ pracy Henryka Mościckiego[3]), od której przecież autor zupełnie wyraźnie odżegnuje się we wstępie Niezrozumiałe jest kurczowe trzymanie się tekstu monografii Mościckiego w rozdziale p.t. „Idźmy za przykładem Francuzów", opisującym wybuch powstania w Wilnie. Wileńskie wypadki mogły się stać niezwykle wdzięcznym materiałem dla beletrysty, gdyby ten nie poprzestawał wyłącznie na wspomnianej monografii! — W odniesieniu do drugiej części książki Dobrowolskiego da się wyprowadzić pewne ogólnienie: otóż mamy tu do czynienia z wybitnym zanikiem charakteru beletrystycznego Zbyt obfite szafowanie „materiałami źródłowymi" jest rzucającą się w oczy usterką kompozycyjną, odbierającą niektórym rozdziałom lekkość, a nawet wdzięk, ujmujące nas na początku. Typowym będzie tu rozdział „Listy, listy, listy", w którym znajdujemy fragmenty korespondencji: Kołłataja z Jasińskim oraz prezydenta Zakrzewskiego z Tyzenhauzem Same te listy, pozbawione jakiegokolwiek komentarza odautorskiego nie naświetlają w sposób wystarczający sytuacji politycznej w Warszawie i Wilnie. A o to chyba autorowi książki w przeprowadzeniu takiego zabiegu kompozycyjnego chodziło?

Jeśli już obieram metodę atakowania kolejnych rozdziałów (co poniekąd usprawiedliwia sama książka, będąca właściwie nie biografią lecz tylko szeregiem „obrazków" z życia Jasińskiego) — niech mi będzie wolno zgłosić pewne zastrzeżenia pod adresem fragmentu p.t. „Byleś winny, żeś oryginalny". Szczupła ilość wiadomości o pochodzeniu, o najmłodszych latach bohatera mogłaby usprawiedliwić „chwyt", polegający na cofnięciu się w przeszłość drogą wspomnień, niezupełnie wszakże szczęśliwym pomysłem wydaje mi się stosowanie tej retrospekcji właśnie tutaj Wspomnienia „kraju lat dziecinnych" przysłoniłyby różowym obłoczkiem tragiczne przeżycia duchowe młodego generała, związane z dymisją ze stanowiska naczelnego wodza wojsk litewskich, dymisją spowodowaną intrygami najbliższego otoczenia Kościuszki.

Na korzyść Dobrowolskiego trzeba niewątpliwie policzyć fakt, że stara się zerwać z popularną kiedyś vie romancée. Mimo to jednak, pewnego wykończenia domagałaby się sylwetka pani Tekli Grozmaniowej, o której czytelnik do końca książki nie wie nic więcej, jak tylko, że „ni zamężna ni wdowa". Wpleciona w tok opowieści jakoby przypadkiem — ma się takie wrażenie — potrzebna jest autorowi po to, by zakończyć książkę efektownym zestawieniem: walka na szańcach Pragi jako klęska sprawy wolności w oczach Jasińskiego, jako klęska szczęścia osobistego — w oczach pani Tekli!

CHOCBY KOSZTEM pewnych powtórzeń spróbować należy podsumowania wrażeń z lektury książki Dobrowolskiego wyniesionych. Uderzająca jest w niej niejaka dwupoziomowość. Dużo ciekawsza i bardziej udana część pierwsza — pociąga czytelnika ładnym, żywym stylem, trafnością obrazu. Wszystko jest tutaj bardziej zharmonizowane i wykończone. Czuje się epokę Muzyka, śmiechem, szelestem jedwabi i brzękiem złota pobrzmiewająca sala balowa daje doskonały efekt przez zestawienie z groźną sytuacją polityczną i zrywami ducha rewolucyjnego. Tu autor świadom jest środków artystycznych, którymi operuje. Do nich — między innymi — zaliczyć trzeba zręczne wplatanie dokumentów, zwłaszcza zaś — fragmentarycznie — utworów interesującego nas żywo bohatera. — W części drugiej, kiedy cytowanie staje się prawie celem zamiast środkiem — posadza się autora o jakiś pośpiech. Zadowalając się szkicowością, operowaniem prawie wyłącznie suchym materiałem historycznym — bardzo wymownym, lecz o ile mniej sugestywnym, zwłaszcza dla młodego czytelnika! — Dobrowolski, niechcący chyba, popada w paradoks. Do końca „żywy" na ogół, przekonujący bohater występuje na tle „martwym", jest do pewnego stopnia — niesłusznie, miejscami aż niesprawiedliwie — wyabstrahowany z otaczającej go rzeczywistości.

Dochodząc do tych kilku uwag ogólnych, przypominając powyższe zastrzeżenia o charakterze szczegółowym — nie sposób książkę Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego nazwać inaczej, jak — dużo obiecującą, a nie zupełnie udaną.

Ewa Parczewska

[1]) St. Ryszard Dobrowolski: „Jakub Jasiński" — „Młodzian piękny i posępny", PIW, 1951, str. 247+3 nlb.

[2]) Wacław Borowy: „O poezji polskiej w wieku XVIII", str. 307.

[3]) Henryk Mościcki: „Jakub Jasiński". Kraków 1948.

Z teatrów krakowskich

PRZERÓBKA sceniczna „Eugenii Grandet" zniekształciła arcydzieło Balzac'a pozbawiając je najgłębszych walorów. Sama powieść zawiera tyle momentów dramatycznych, że dość było bez zmiany przenieść je na scenę, żeby mieć całą prawie sztukę gotową. Tymczasem nawet tam gdzie treść pozostała nienaruszona, zastąpiono niewiedzieć czemu świetny dialog balzakowski rozmowami wyrobu swojskiego, usunięcie zaś scen tak kapitalnych jak uwięzienie córki przez Grandeta i co za tym idzie wspaniałego wystąpienia Eugenii wobec interwencji przyjaciół, oraz głównego motywu końcowego jakim jest jej gest szlachetny z zapłaceniem długów Karola — spłyciło całą rzecz przenosząc ją na inną płaszczyznę.

Błędem zaś rażącym jest w ostatnim akcie wprowadzenie na scenę Karola, czego nie ma u Balzac'a. O wiele lepsze byłoby odczytanie listu w formie monologu Eugenii, co by zarazem dało pole aktorce do bogatej gry mimicznej. I w tych jednak warunkach zespół aktorski zrobił bardzo wiele, a odtwórca roli Grandeta dał kreację znakomitą.

Całość wypadła jako niezły dramat mieszczański, lecz utraciła silne i głębokie akcenty oryginału. Przy tym, mimo że Balzac dał nadzwyczaj dokładny opis wyglądu sali i ubioru obojga Grandetów, zupełnie tego nie uwzględnioną chociaż nie przedstawiało to żadnych trudności. Tu zaznaczam nawiasowo, że jak daleko sięgnę pamięcią, zawsze w naszym teatrze pomijano (pośmiertnie) wskazówki scenograficzne autorów, nawet Wyspiańskiego.

Wszystkie równoległe premiery były poświęcone miesiącowi pogłębienie przyjaźni polsko-radzieckiej, a więc wystawieniu utworów radzieckich pisarzy. Mieliśmy tedy w obu salach Starego Teatru sztuki jednego autora współczesnego (Rachmanowa) i jednego klasyka (Ostrowskiego).

Oba te dzieła zostały zrealizowane doskonale. Zarówno gra aktorów jak reżyseria i oprawa scenograficzna — to ostatnie zwłaszcza w sztuce Rachmanowa — były wyborne. Ma się rozumieć dramat Ostrowskiego osiągnął znacznie wyższy poziom i wzbudził o wiele większe zainteresowanie nie tylko dlatego, że trudno porównywać skalę talentu znakomitego autora z wielkiej epoki twórczości dramatycznej rosyjskiej z pisarzem współczesnym, ale i ze względu na sam klimat tej twórczości.

Ostrowski • po staremu odtwarza dramat rozgrywający się w głębi dusz ludzkich, kreśli wynikające stąd sytuacje, bierze typy z otoczenia nadając im tylko plastykę sceniczną i daje w ten sposób kawał życia. Tendencja ideologiczna wynika tu sama przez się, bez narzucania jej przez autora, który ten wynik osiąga jedynie za pomocą środków artystycznych. „Talenty i wielbiciele", to historia równie stara, jak dzieje teatru, ale wiecznie nowa, i wzruszać będzie zawsze bez względu na zmianę stosunków społecznych.

„Niespokojna starość" Rachmanowa stosownie do obowiązujących obecnie prawideł twórczości służy przede wszystkim ideologii. Zarówno sama fabuła utworu jak i występujące w nim postacie są wyrazem pewnych założeń ideologicznych, a to co dzieje się w ich duszach ma również służyć tym samym celom. Autor nie dba i dbać nie może o taki lub inny rozwój uczuć stwarzanych przez siebie postaci, ale potrąca w ich psychice te struny, które mogą się zdać na to, — żeby wydały pożądany oddźwięk.

U Ostrowskiego aktorzy znajdują od razu role, które mogą przeżywać na scenie i tchnąć w nie całą siłę swego talentu — tutaj muszą oni dopiero stwarzać te role, ożywiać dykcją i głosem tekst i fabułę, której wynik jest dla widza z góry wiadomy. Czynią to zresztą doskonale. W sztuce Rachmanowa dobyto całą dynamikę treści jaka się z niej dała wydobyć.

Obsada obu dramatów była trafna Jedynie tylko w „Talentach i wielbicielach" odtwórca postaci studenta Mieluzowa — bardzo zdolny zresztą i mający już w swoim dorobku niektóre osiągnięcia wręcz wspaniałe— nie zdołał się jakoś wżyć w rolę, która mu najwidoczniej nie odpowiadała.

Teatr Młodego Widza dał nam również sztukę radziecką, „Doktora Kałużnego". Fabuła naiwna z nieodzownym, a więc przewidywanym z góry „happy end'em", posiada jednak to minimum inwencji, które jest potrzebne żeby wzbudzić pewne zaciekawienie. Reszty dopełniła bardzo dobra inscenizacja i kapitalna gra całego zespołu. Zapominało się zupełnie, że to teatr, miało się przed sobą ludzi żywych i... dobrze znajomych, ponieważ w sztukach doby obecnej spotyka się zawsze te same typy (niektórych nawet charakteryzacja zewnętrzna jest wszędzie ta sama).

Teatr Kolejarza skromnie pomieszczony w dość odległym zaułku, coraz bardziej wybija się na poziom wysokiej klasy. Premiera inauguracyjna w tym sezonie poświęcona uczczeniu 75-tej rocznicy zgonu Fredry była — można to bez przesady powiedzieć — wzorem, jak Fredrę grać należy.

Z wielkim taktem wybrano ze spuścizny fredrowskiej utwór bodaj że pośmiertny, od dawna nie grywany i zupełnie już zapomniany, uzyskując w ten sposób wrażenie pewnej świeżości, które działa dodatnio. Współczesnym lub przynajmniej bliskim epoki fredrowskiej „Ostatnia wola" wydawała się zapewne utworem słabszym od innych, w którym znajdowali tylko echa twórczości genialnego komediopisarza. Dla widza dzisiejszego ta rzecz nabrała już „myszki", wszystko w niej jest stylowe, a doświadczenie twórcy w użyciu wszelkich środków scenicznych dozwala tu osiągnąć pełnię efektu, w której rozbłysnąć mogą wszystkie cechy humoru Fredry i znakomite jego władanie techniką teatralną.

Wykonawcy „Ostatniej woli" efekt ten osiągnęli. Nie przepadł ani jeden szczegół, ani najdrobniejsza finezja każdej z ról. Wszystko było opracowane z przewybornym staraniem, a odtworzone z tym wyczuciem się w role i z tym temperamentem, który stanowi cechę tego zespołu. Nadzwyczajny umiar i unikanie efektów czysto farsowych uwydatniło cały komizm jaki tkwi w samym utworze. Gra była non plus ultra, tło, dekoracje, bardzo szczęśliwe pod względem estetycznym rozpoczęcie pierwszego aktu, takie szczegóły inscenizacyjne jak nader ładne stare portrety na ścianach, wszystko świetnie zharmonizowane. Jedyny zarzut możnaby postawić co do charakteryzacji — nie gry, zaznaczam to wyraźnie, bo gra była dobra — rezydenta Kuleszy, który był jakby zdjęty z jakiejś lichej ilustracji i wyglądem swoim psuł rolę. Ci rezydenci płci obojej, których pełno bywało po dworach szlacheckich, wszystko ludzie podstarzali, ubodzy krewni lub dawni przyjaciele, wyglądali zupełnie inaczej i każde zdanie wygłoszone przez odpowiednio ucharakteryzowanego starego Kuleszę brzmiałoby odmiennie.

Nie zmienia to faktu, że całe przedstawienie było na ogół pierwszorzędne.

Alina Świderska

Czy potrzeba rewizji?

(Dokończenie ze str. 5)

set: „In extrema necessitate — omnia communia". Ale dlaczego nie mamy mocnej w zasadach katolickiej doktryny społecznej? Bo od kilkunastu wieków szukamy metody i nie możemy się zdecydować. I gdy p. Łubieński proponuje za źródło kat. doktryny społ. pozytywne prawa Boże, niżej podpisany woła ze wszech miar: p r a w o n a t u r a l n e. D l a c z e g o?

Prawo naturalne, jak wiemy, jest to „participatio legis aeterna in rationali creatura" — (Udział prawa wiecznego w stworzeniu rozumnym).

Prawo naturalne jest innymi słowy, jak powiada prof. Kalinowski, zbiorem ogólnych zasad postępowania, płynących z woli Boga, wyrażonych w naturalnych skłonnościach ludzkich, poznanych intuicyjnie przez umysł ludzki w jego aspekcie praktycznym (intellectus practicus).

W prawie rzymskim i w prawie kanonicznym, prawo natury uznane jest, jak wiadomo, za najwyższe źródło moralności. Św. Paweł podkreśla wyraźnie, że świat pogański zachowywał prawo naturalne, chociaż nie znał Dekalogu. „Bo jeśli poganie, którzy Zakonu nie mają z przyrodzenia to czynią, czego Zakon wymaga, to tacy nie mający Zakonu sami sobie są Zakonem. Okazują bowiem sobie treść Zakonu wypisaną na sercach swoich, której przyświadczy i własne ich sumienie, gdy różne ich myśli zaczną wzajemnie oskarżać się lub bronić" (Rzym 2, 14-15).

A czymże wreszcie jest sam Dekalog, jak nie sprecyzowanym podaniem ludzkości tego, co istniało i obowiązywało ją już uprzednio na mocy prawa naturalnego. Pozytywne prawo Boże nie ma za swój cel zasadniczy dawać nam rad na bolączki społ.-gosp. czy polityczne, a jeśli nawet chcielibyśmy takie recepty w Ewangelii wyszukiwać moglibyśmy dojść do stanowiska, jakie swego czasu Kościół zajął wobec systemu heliocentrycznego Kopernika. N i e — wobec w s z y s t k i e g o, co jest sprzeczne z Pismem św.

Tak jak inni zrozumieli dawniej, że Biblia nie jest księgą przyrodniczą, tak i Łubieński musiałby sobie uświadomić, że Pismo Św. nie jest dziełem ekonomicznym, ani traktatem społecznym.

Jeśli prawo naturalne opanowało umysły ludzkie już za Sofoklesa (Antygona), jeśli znajdujemy jego wykład otwierając święte księgi buddyjskie (Tipitaka), jeśli dotarło do nas i mimo neopozytywizmu prawnego, dość silnie rozwiniętego w ostatnich czasach, Joseph Charmont mógł w 1910 r. zatytułować swą pracę: LA RENAISSANCE DU DROIT NATUREL, nie wiem czy słusznym by było odsuwanie na bok tak ogólnoludzkiego źródła postępowania. Praca takich uczonych, jak Renard, Le Fur, Reid, Newman, a po nich neotomistów prawnych, jak: Leclerq, Valensin, ks. Szymański, o. Lachance, Martyniak czy o. Saertillanges autor m. in. świetnej „Philosophie des lois" powinna być kontynuowana. Wróćmy więc do Mistrza Akwinaty i wraz z nim zacznijmy zagłębiać jego rozumienie prawa naturalnego, by krok za krokiem samodzielnie posuwać się w kierunku rozbicia zasadniczej tezy: **Bonum est faciendum** — na poszczególne normy, którym bynajmniej nie musimy nadawać znamion wieczności i niezmienności. (Zresztą o tym można by osobno rozważać). Rozwijając naszym umysłem poznanie prawa naturalnego nie będziemy oczywiście tworzyli zasad tylko katolickich, lecz bez tego określenia takie, które będą do przyjęcia przez całą ludzkość, a stąd i... powszechne.

Ryszard H. Michalski

Z PRASY LITERACKIEJ

ECHA NARADY

MINISTERSTWO Kultury i Sztuki zorganizowało w dniach 27 i 28 października, naradę poświęconą zagadnieniom polskiej twórczości artystycznej.

Naradę, która znalazła żywy oddźwięk w prasie literackiej i codziennej zagaił członek Biura Politycznego K.C. P.Z.P.R. Jakub Berman. Minister Berman stwierdził m. i., że nasza literatura i sztuka nie nadąża za tempem przemian we wszystkich dziedzinach życia, że nie rezygnując z długofalowych zadań twórczych sztuka służyć musi problemom związanym z codzienną realizacją zadań politycznych i gospodarczych.

„Nowa Kultura" (z dn. 18 list. nr 46) zamieszcza na czołowym miejscu artykuł Pawła Hoffmana, na który składają się fragmenty zagajenia drugiego dnia obrad.

Punktem wyjścia artykułu stała się wątpliwość wyrażona w dyskusji przez Tadeusza Brezę — czy możliwym jest realizm socjalistyczny, czy realizm ten da się urzeczywistnić w praktyce twórczej pisarzy polskich?

Analizując genealogię artystyczną większości pisarzy, których tworczość wyrasta z okresu międzywojennego, red. Hoffman podaje definicję realizmu krytycznego jako kierunku poprzedzającego socjalistyczny realizm.

Realizm krytyczny jest zdaniem autora „krytyką ustroju kapitalistycznego, która może iść bardzo daleko, ale krytyką z pozycji ideowych wytworzonych przez ten ustrój i będących jego nadbudową ideologiczną". — Również w naszej literaturze międzywojennej znaleźć można trzy nurty a mianowicie: — „rozmaitość różnych schyłkowych, dekadenckich w gruncie rzeczy antyhumanistycznych postaw..., dość poważny nurt realizmu krytycznego... zaczątki realizmu socjalistycznego; więc „skok, który trzeba dokonać powinien być rzeczywiście skokiem od realizmu krytycznego do realizmu socjalistycznego.

Mówiąc o naszych tradycjach literackich, przypomina autor artykułu o postępowym charakterze omawianego przez prof. Wykę realizmu romantycznego oraz racjonalistycznym romantyzmie wieku Oświecenia, by zakończyć fragment swoich rozważań stwierdzeniem: — „realizm socjalistyczny jest możliwy obiektywnie i subiektywnie".

W dalszym ciągu artykułu, w rozdziale „O błędach, krytyce i samokrytyce" — czytamy: „zamówienie społeczne klasy robotniczej ma przy tym charakter często zorganizowany, instytucjonalny", dopuszcza więc autor możliwość istnienia braków i niedomagań w aparacie zamówienia społecznego. Nie zwalnia to jednak twórców od odpowiedzialności artystycznej, od tolerowania błędów i niedomagań. Za jeden z największych błędów uważa naturalizm artystyczny, połączony często z naturalizmem spojrzenia polityczno - społecznego. Naturalizm w sztuce charakteryzuje Paweł Hoffman jako fałszywe wyłapywanie szczegółów prowadzące do fałszywego uogólnienia — mówiąc dalej: „naturalizm prowadzi do fałszywego obiektywizmu, to znaczy do fałszywej bezstronności, fałszywej dlatego, że rzeczywistość nie jest bezstronna lecz stanowi jedność przeciwieństw".

— Mam wrażenie (dop. rec.), że przytoczona definicja naturalizmu po wprowadzeniu pewnej korekty dotyczącej filozoficznego aspektu zagadnienia, przyjęta być może przez literaturoznawstwo wychodzące z pozycji katolickich.

Rozprawa z martwym schematyzmem i martwą deklaratywnością, wynikła z rozważań nad koniecznością przezwyciężenia zakłamania emocjonalnego, — stanowi najciekawszą i najbardziej postulatywną część artykułu. Punktem wyjścia dla rozważań stał się — „problem ukazania (w dziele literackim — dop. mój) bardzo zawiłego splotu przeciwieństw antagonistycznych i nieantagonistycznych w naszej rzeczywistości".

Artykuł zamyka stwierdzenie, że zadaniem stojącym przed współczesnym pisarstwem polskim, jest rozważenie — „w jaki sposób ukazując poznaną rzeczywistość, budzić w odbiorcy właściwą postawę emocjonalną wobec tej rzeczywistości; jak pomóc przekształcać tę rzeczywistość, mobilizując swoim dziełem najszlachetniejsze dążności i namiętności odbiorcy".

W ożywionej dyskusji, której fragmenty publikuje „Nowa Kultura" zabierali głos przedstawiciele różnych dziedzin naszej twórczości artystycznej.

Dyrektor Teatru Nowego w Łodzi, Kazimierz Dejmek zaznaczając że: — „podstawowym elementem wszelkiej pracy teatru jest składnik literacki" stwierdził — „teatr współczesny nie podoła zadaniu bez nowej i dobrej twórczości dramaturgicznej".

O wyborze właściwych tradycji w muzyce mówiła Zofia Lissa, zaś deklaratywna wypowiedź Bolesława Woytowicza nawiązywała do postulatów zawartych w referacie min. Bermana.

Interesująca dyskusja na temat sytuacji w polskiej twórczości plastycznej przyniosła obok analizy błędów i oceny sytuacji również i szereg postulatów.

— „Hasło realizmu socjalistycznego — stwierdza Janusz Krajewski — przyjęte zostało przez plastyków w formie dość powierzchownej" —

Przyczyny kryzysu w naszej plastyce widzi zarówno Krajewski jak Jan Kott i Stanisław Tesseyre w oderwaniu się plastyki od potrzeb społecznych, od środowiska, w płytkim przeżyciu tematu, małej wiedzy historycznej i społecznej artysty, zlekceważeniu środków plastycznych u jednych, względnie nawiązywaniu do starych nawyków w zakresie stosowania tych środków.

Stanisław Tesseyre widzi zapowiedź poprawy w całkowitym przełamaniu postawy formalistycznej oraz dyskusjach i krytyce lat ostatnich.

Podsumowania głosów w dyskusji dokonał min. Włodzimierz Sokorski analizując rozważania i postulaty niektórych dyskutantów, raz jeszcze dokonywując przeglądu aktualnej sytuacji poszczególnych gałęzi sztuki. Wspominając o zadaniach krytyki artystycznej stwierdza prelegent: — „krytykę naszą winna cechować umiejętność dostrzegania i zaopiekowania się zjawiskami nowymi, wybiegającymi naprzód".

Trudności plastyki współczesnej wynikają m. i. zdaniem min. Sokorskiego z zamazania dziedzictwa przeszłości. Braki naszego teatru mają źródło w schematyczności dźwigających problem postaci, deklamacji i deklaratywności.

Narada, bogata w stwierdzenia, wnioski i postulaty formułowane na ogół z pozycji estetyki marksistowskiej, dotyczyła całokształtu marksistowskiej twórczości artystycznej naszego kraju.

(szcz.)

Wigilia kata

(Dokończenie ze str. 7)

bruk i Mickiewicz, opłatki i bitwa pod Grunwaldem, konstytucja 3 maja, ks. Kordecki, nawet Wieniawie-Długoszewskiemu udało się tam wśliznąć. Zubrzyk milczał cały czas, dopiero wzmianka o Wieniawie przechyliła szalę i szepnął nawpół do mnie, nawpół do siebie: Boże, daj bat, wielki bat...! Była to jedyna modlitwa, jaką kiedykolwiek z jego ust słyszałem.

Nie wiadomo jak długo trwała by ta plaplanina, gdyby nie Maurice. Zjawił się nagle i pokrywając lekkie zmieszanie zdwojonym wygłupianiem oświadczył wśród min i gestykulacji:

— Chez Polaki heute Feiertag. Das ist für sie, dla Polaki, enculés de Polonais, od Maurice...

I położył na środku stołu pudełko papierosów. Zgotowaliśmy mu owację, prosząc, by usiadł i jadł z nami. Ale nie dał się namówić. Odszedł, a korzyść z jego zjawienia została podwójna: papierosy — to raz, a przerwanie melodramatu — to dwa. Kolacja poszła już gładko. Dopiero na końcu, gdy przyszło do śpiewania kolęd, moje rozdrażnienie odżyło. Wprawdzie Zubrzyk ratował sytuację, śpiewając na nutę: „Pójdźmy wszyscy do stajenki..." że „kto nie umie pijaka uszanować, ten w niebie kropli wódki nie dostanie...", ale ja byłem zły. I już chciałem „dać nogę", gdy podszedł Maurice i powiedział, że Schlager nas wzywa.

Nie tylko Schlagerowi, ale i samemu diabłowi byłbym w tym momencie wdzięczny za wyrwanie z denerwującej sytuacji. Zawołałem na innych i zaczęliśmy schodzić na parter. Tu uderzył w nas niespodziewanie inny jakiś śpiew. Nie bardzo rozumieślimy o co chodzi — a to było przecież takie proste... Na parterze korytarz przepoławiał wzdłuż cały budynek. Wprost klatki schodowej były drzwi od więzienia kobiet — zwykle zamknięte na klucz. Na prawo — krata, za nią po obu stronach wejścia do cel partyzantów. Otóż partyzanci stali zgromadzeni przed kratą. Więzienie kobiet było otwarte, a więźniarki-Ślązaczki klęczały wokół zaimprowizowanego żłóbka, śpiewając po polsku kolędę: „Cicha noc — święta noc". Głosy ich, drgające płaczem mieszały się w niezharmonizowanym chórze z głosami mężczyzn. Ci znowu wychudli, nieogoleni, woskowo bladzi starali się najwidoczniej opanować wzruszenie. To byli jutrzejsi skazańcy, kandydaci na najbliższy „Sondergericht". A przed nimi stał Schlager, niewątpliwy inicjator uroczystości, ze swoją głupią gębą, rozlaną w szerokim uśmiechu i poważnie, z bykowcem w dłoni odmierzał takt — Niemcy są muzykalni...

I wówczas także nie zaśpiewałem z innymi. Nie mogłem. Zbyt mocno ściskało coś w gardle. Za to więźniarki, partyzanci, kwarantanna wolnościowa i SS-Untersturmführer Schlager — wszyscy kolędowali.

Gdy wracaliśmy na sztubę, Maurice podszedł do mnie i powiedział:

— Słuchaj, Jurek, nigdy nie widziałem jeszcze mszy katolickiej i powiadam ci — miałem łzy w oczach.

— Ależ, to nie była żadna msza katolicka, zawołałem, nagle rozbawiony.

Gdy doszedłem do swojej pryczy, zobaczyłem leżące na wezgłowiu 2 jabłka, kawałek piernika, gałązkę jedliny i... wierszyk. Nie było 2 możliwości: wszystko pochodziło od marszałka. Trzeba mu było podziękować za pamięć. Zastałem go w nastroju pogodnie-zrezygnowanym. Po chwili gadędy spytałem, jak zamierza załatwić swoją „sprawę honorową".

— Chciałem powiedzieć o wszystkim SS-Untersturmführerowi Schlagerowi (marszałek nigdy nie mówił, jak ini więźn owie, po prostu — Schlager), żeby capo dostał 25, ale, ze względu na uroczystość Bożego Narodzenia — postanowiłem mu wszystko po chrześcijańsku darować. W tym momencie dosłownie zbaraniałem. Jak to? Więc Johann Friedländer, feldmarszałek armii austriackiej, uważałby za satysfakcję, gdyby człowiek, który go zelżył otrzymał baty i to od wroga wspólnego: obrażonego i obraziciela?! Rozumiałem, że capo nie był dlań „satisfaktionsfähig", ale przecież, u Boga Ojca...

*

KALEJDOSKOP histor i przez 5 lat zaledwie dla nas dostrzegalny zaczyna naraz się obracać z zawrotną szybkością, jakby chciał nadrobić utracony czas. W niespełna miesiąc po ostatniej oświęcimskiej wigilii następuje ewakuacja obozu. Zaczyna się ta beznadziejna ucieczka przed nieuchronnym po bezkresie gościńców Śląska, Saksonii, Bawarii. Nikogo się do marszu nie popędza. Kto nie może nadążyć — zostaje zastrzelony. Trupy są milowymi kamieniami naszego pochodu. Przy końcu drugiej doby marszu prawie bez przerwy Zubrzyk, który poprzedniego dnia podzielił się ze mną kawałkiem suchego sera (ja już dawno żywności nie miałem) podaje mi pół bochenka chleba. Na moje pytanie odpowiada, że to jest chleb Friedländera, którego przed chwilą zastrzelił Schlager.

SS-Untersturmführer Schlager zastrzelił Feldmarszałka Friedländera...

Ale pozostaje znacznie ważniejsza, bo życiowa kwestia pozostałego chleba. Nie wiem, czy mogę przyjąć. Boję się surowego osądu Zubrzyka. Ale tamten wciska mi chleb do ręki i ten prosty gest uspakaja mnie w jednej chwili. Zubrzyk ma instynkt tego, co wolno.

Jerzy Stadnicki

Ks. Prof. EUGENIUSZ DĄBROWSKI

ŻYCIE JEZUSA CHRYSTUSA

w opisie Ewangelistów

„Poza próbami naukowych czy literackich opracowań można również (a historia egzegezy dostarcza pod tym względem wiele wymownych przykładów) z czterech Ewangelii utworzyć jedną tak, aby na chwilę nie wyjść poza słowa tekstu świętego. Jeżeli bowiem Ewangelie dotyczą jednej postaci — Jezusa Chrystusa, zdarzeń z jego życia nauk, to skoro je związemy pragmatycznie w jeden opis na zasadzie przyjętej w pisaniu życiorysów w ogóle — powstaje jedyny w swoim rodzaju życiorys Chrystusa napisany zgodnym wysiłkiem czterech Ewangelistów. W tak pojętym życiorysie każdy Ewangelista odnajduje siebie: nie tylko bowiem w opisach identycznych nic, co ma istotnie znaczenie, nie zostaje zagubione, ale uszanowane są wszystkie fragmenty niezależne, stanowiące własność poszczególnych Ewangelistów".

(Z przedmowy)

PALLOTTINUM 1951

Cena 25 zł.

NA WESOŁO po trochu

ROBOT HUMANISTA

W Nowym Yorku pracuje robot elektryczny decydujący, który z młodych poborowych zostanie natychmiast powołany do służby czynnej, a który otrzyma odroczenie. Zasadniczo odroczenia przysługują jedynie studiującym na uniwersytetach, a egzamin ma wyłącznie na celu wykaza-

nie uzdolnień. Poborowi, zaopatrzeni w elektryczny ołówek muszą odpowiedzieć na szereg pytań stawiając krzyżyki w rubrykach oznaczonych „tak" lub „nie". Robot może załatwić 500 kandydatów w przeciągu godziny.

To się zapewne tam nazywa — humanistyczny stosunek do człowieka.

NIEZWYKŁA WYTRZYMAŁOSC

Pianista niemiecki, Heinz Arndt, liczący 51 lat, pobił w Kolonii rekord gry na fortepianie. Grał on bez przerwy podczas 202 godzin, co stanowi z górą jeden tydzień.

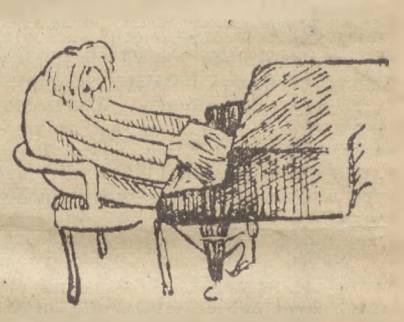

Heinz Arndt pobił swój własny rekord z ubiegłego roku. Wtedy udało mu się grać bez przerwy przez 201 godzin.

Pomyśleć — to się dzieje w Niemczech — w kraju Mozarta, Bacha, Beethovena. Amerykański styl życia — w kulturze.

PACHNĄCE ATRAMENTY

Prasa amerykańska przechwala się, że amerykańska firma Waterman oraz kilka innych wytwórni atramentów rozpoczęło produkcję pachnących atramentów. Jeden gatunek pachnie prawdziwą kawą, drugi czekoladą, trzeci świeżym chlebem.

Wolno chyba wątpić w prawdziwość tej informacji. Jeżeli to prawda o ile byłoby rozsądniej wydać pieniądze przeznaczone na te eksperymenty na kawę, czekoladę i chleb dla tych, dla których w Stanach Zjednoczonych zabrakła pracy... i chleba.

OSOBLIWY PASAŻER

Okręt angielski „Queen Mary", który wyruszył niedawno do Nowego Jorku, przewozi osobliwego pasażera:

jest nim orzeł-olbrzym, liczący prawie dwa metry wysokości. Okaz ten należy do przyrodnika kapitana Charles Knight'a, udającego się do Kanady.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Zygmunt Lichniak, Konstanty Łubieński Andrzej Micewski Zygmunt Przetakiewicz Ryszard Reiff Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. tel 8.80 71, 8.80 26 Konto PKO — Nr 1-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1.80 złotych Kwartalnie 5.40 złotych
Drukarnia Akcydensowa Warszawa, Tamka 8 Zam 3308. 2-B-47512.